

W Dzień Zstąpienia Doli
nie wzbraniaj gościny nikomu.

KOSZYCZEK DLA DOLI

Marcin Mortka



SON
Originals

Spis treści

[Okładka](#)

[Strony tytułowe](#)

[Mapki](#)

[Okolice karczmy Pod Kaprawym Gryfem. Jakies trzy i pół godziny przed świąteczną kolacją](#)

[Karczma Pod Kaprawym Gryfem. Mniej więcej trzy godziny przed świąteczną kolacją](#)

[Bajka Gramma](#)

[Karczma Pod Kaprawym Gryfem. Dwie godziny do świątecznej kolacji](#)

[Bajka Eliaha](#)

[Karczma Pod Kaprawym Gryfem. Niecałe dwie godziny do świątecznej kolacji](#)

[Bajka Zwierzaka](#)

[Karczma Pod Kaprawym Gryfem. Jakies półtorej godziny do świątecznej kolacji](#)

[Bajka Urgo](#)

[Okolice karczmy Pod Kaprawym Gryfem. Już niecałe półtorej godziny do świątecznej kolacji](#)

[Bajka Sary](#)

[Karczma Pod Kaprawym Gryfem. Trochę ponad godzinę do świątecznej kolacji](#)

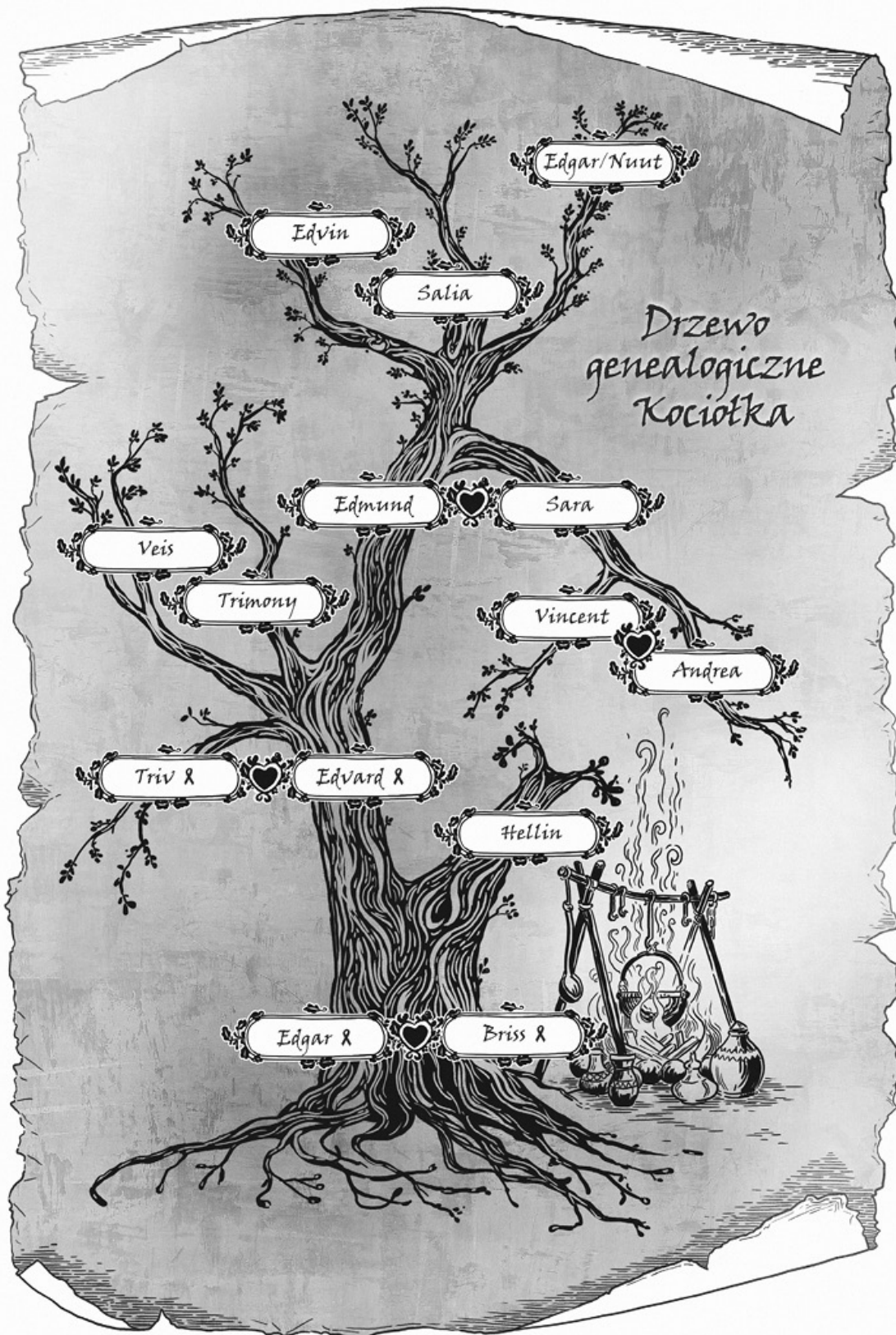
[Okolice karczmy Pod Kaprawym Gryfem. Pół godziny do kolacji, ale w sumie i tak nie ma już sensu liczyć](#)

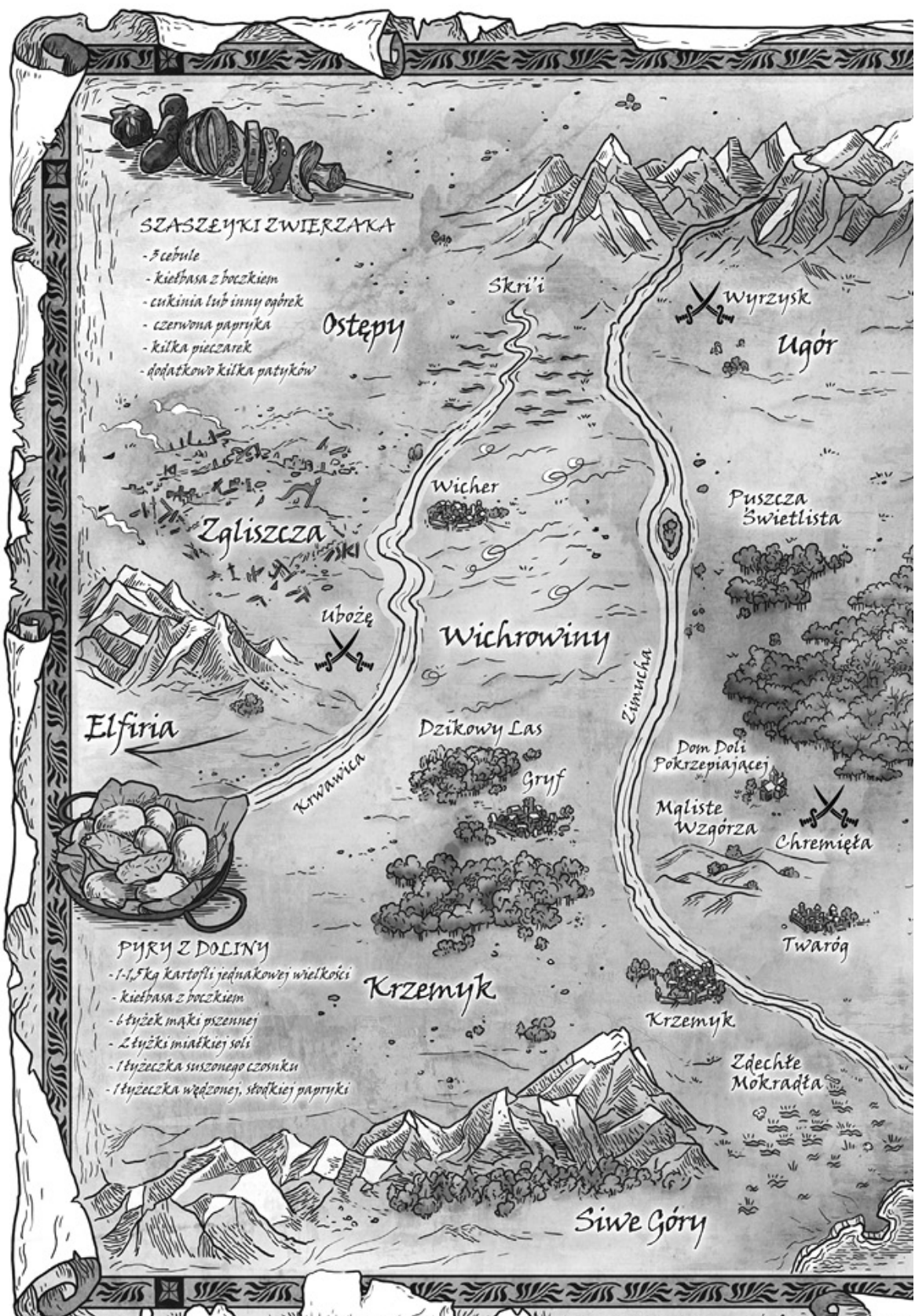
[Karczma Pod Kaprawym Gryfem. Mocno spóźniona kolacja świąteczna i długo wyczekiwana bajka Żychłonia](#)

[Strona redakcyjna](#)

KOSZYCZEK DLA DOLI

KOSZYCZEK DLA DOLI





SZASZYKI Z WIERZAKA

- 3 cebule
- kiełbasa z boczkem
- cukinia lub inny ogórek
- czerwona papryka
- kilka pieczarek
- dodatkowo kilka patyków

Elfiria



PYRY Z DOLINY

- 1-1,5 kg ziemniaków w wielkości
- kiełbasa z boczkem
- 1 łyżek mąki pszennej
- 2 łyżki mielonej soli
- 1 łyżeczka suszonego czosnku
- 1 łyżeczka wędzonej, słodkiej papryki

Ostępy

Skri'i

Wyrzysk

Ugór

Zaliszcz

Wicher

Puszcza Świetlista

Wichrowiny

Ubożę

Dzikowy Las

Gryf

Zimucha

Dom Doli Pokrzepiającej

Maliste Wzgorza

Chremięta

Twarog

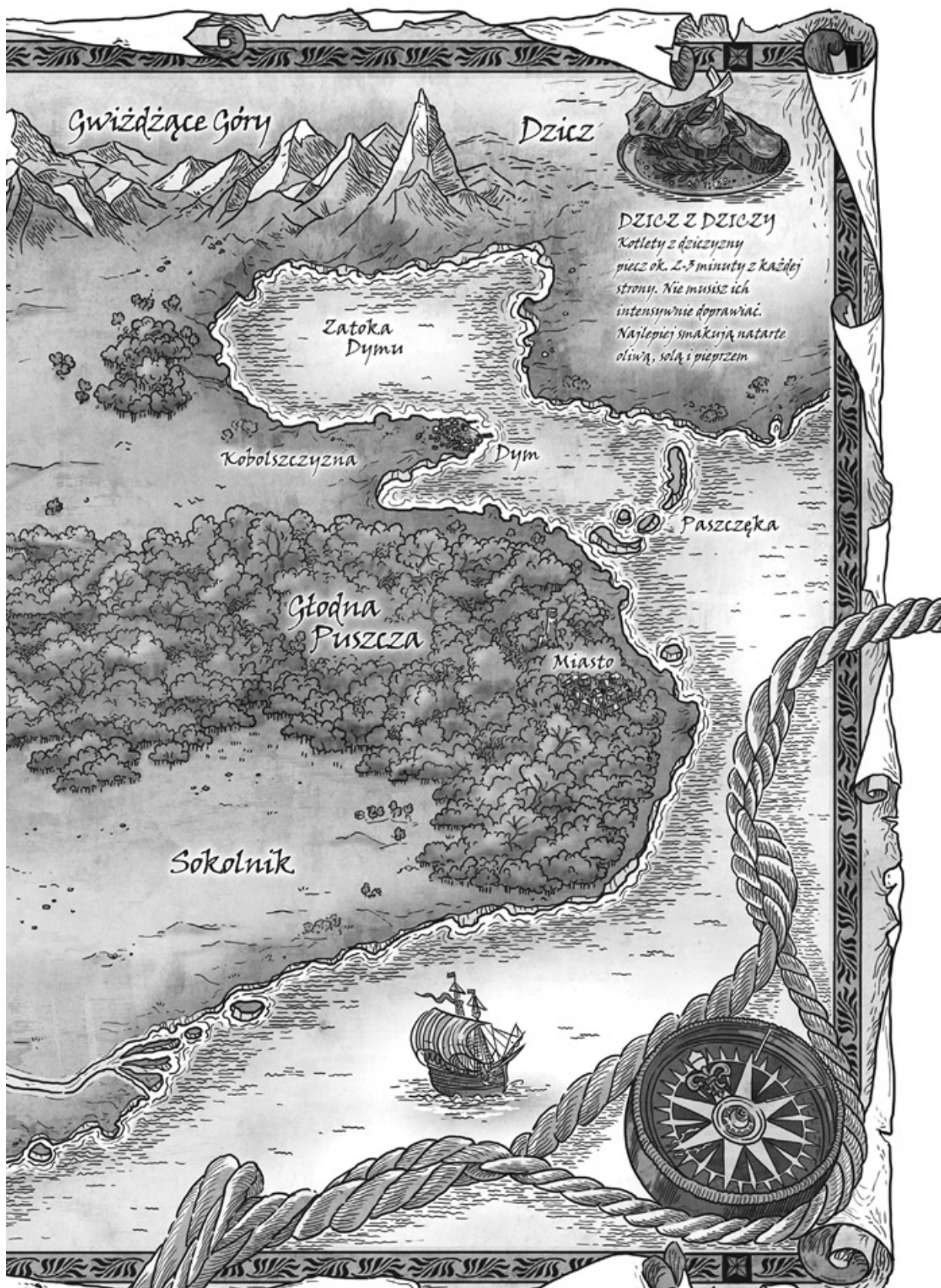
Krzemyk

Krzemyk

Zęchte Mokrańta

Siwe Góry





Gwizdzące Góry

Dzicz

Zatoka
Dymu

Kobolszczyzna

Dym

Paszczyka

Głódna
Puszcza

Miasto

Sokolnik

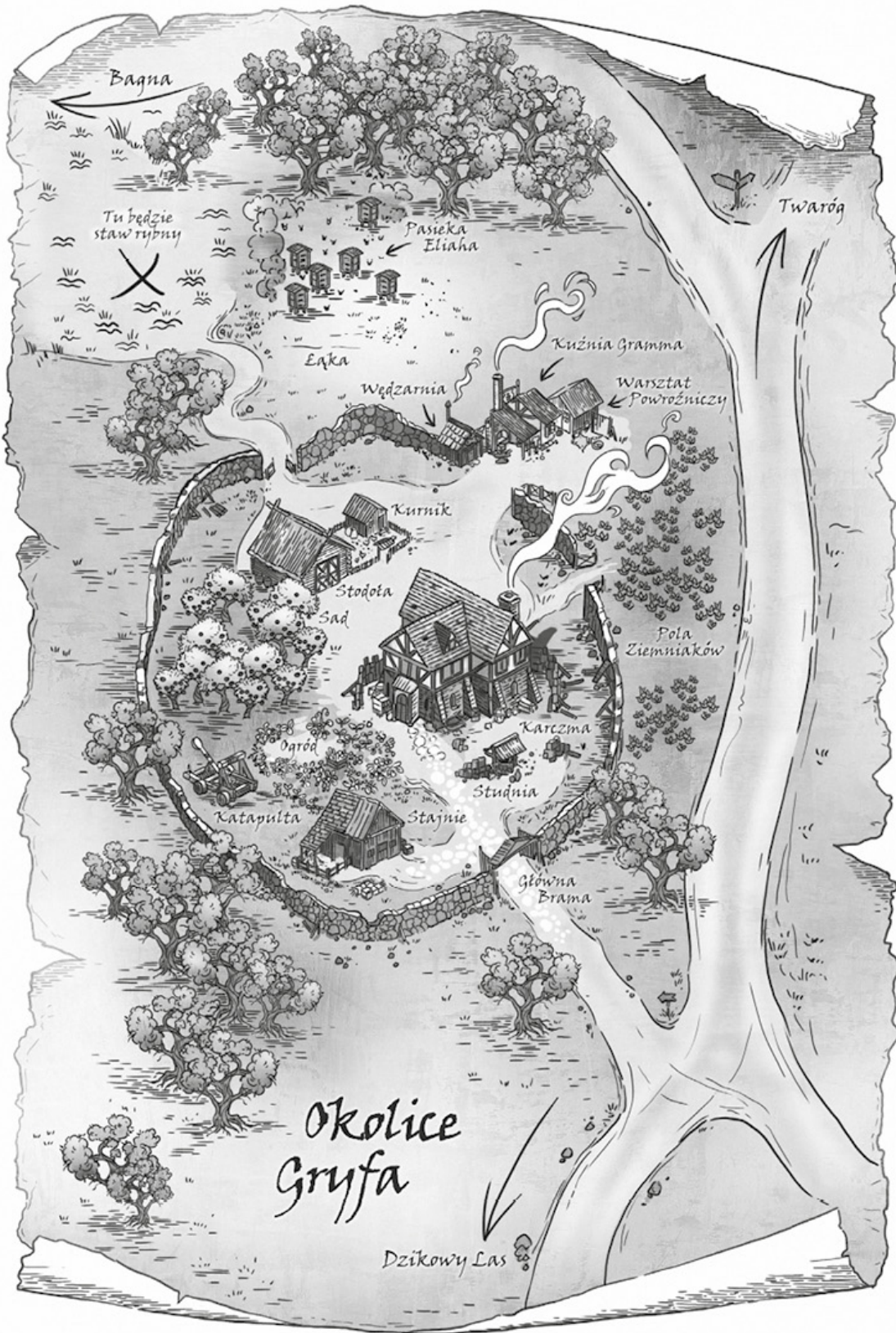


DZICZ Z DŻICY

Kotlety z dzicyzny
piecz ok. 2-3 minuty z każdej
strony. Nie musisz ich
intensywnie doprawiać.
Najlepiej smakują natarte
oliwą, solą i pieprzem







Okolice karczmy Pod Kaprawym Gryfem

Jakieś trzy i pół godziny
przed świąteczną kolacją





– Kociółek – odezwał się z namysłem Gramm – jednego żeś mi, chłopie, nie wyjaśnił. Co my tu właściwie robimy?

– Szukamy czerwonej kory – powiedziałem. – Zmarzniętej huby i pięciu ziarenek jarzębiny.

Przez moment słyszałem tylko posapywanie krasnoluda oraz poskrzypywanie śniegu pod jego buciorami, co oznaczało, że odpowiedź go zafrapowała.

– I to... – zaczął ostrożnie – i to jest ważne, tak?

– Oczywiście, że tak – odpowiedziałem, po czym zatrzymałem się i uniosłem wyżej latarnię.

Blask osłoniętej przed podmuchami wiatru świeczki prześlizgnął się po pniach najbliższych drzew, zmarzniętych i pobielonych niesionym wichrem śniegiem. Westchnąłem ciężko i pokręciłem głową. Orientacja w terenie nie była moją najmocniejszą stroną, co w połączeniu z wybujałą wyobraźnią skazywało mnie na niejedną chwilę zawahania podczas wędrówek po lesie, zwłaszcza podczas śnieżnej nocy. Mniej więcej wiedziałem, którądy biegnie trakt prowadzący do Gryfa, ale coś mi mówiło, że jeśli wykonam choć jeden krok w niewłaściwym kierunku, mogę już nie odnaleźć drogi do domu.

I zostanę tu zmarznięty i głodny, a do tego skazany na towarzystwo marudnego krasnoluda.

– Oczywiście, że tak – powtórzyłem głośniejszym głosem, niż należało, głównie po to, by utwierdzić się w przekonaniu, że postępuję słusznie. – To tradycja.

– Tradycja! – W głosie Gramma pojawiło się rozdrażnienie, którego w sumie się spodziewałem. – Nie macie może jakichś tradycji, które...

Wtem rozległy się miękki łoskot i stłumione przekleństwo. Odwróciłem się w porę, by ujrzeć, jak plujący śniegiem krasnolud podnosi się z zasy i otrzepuje brodę, a potem resztę ciała. Jego zmrużone oczy błyszczały żądzą mordy.

– Z tradycją klócić się nie wolno – pouczyłem go, co w sumie nie było dobrym pomysłem.

– Z tradycją się nie kłóczę – warknął Gramm – bo skoro narzuca na ciebie obowiązek znoszenia śmieci do domu, jest durna jak onuce Zwierzaka i niewarta mojej uwagi. Chciałbym natomiast zapytać ciebie, Kociołek, coż takiego sprawiło, że uznałeś mnie za godnego towarzysza? Bo jeśli jest coś, czego nie cierpię bardziej od lasu, to las nocą! I to w pieprzonym śniegu!

Z każdym słowem mówił głośniejsze i z większą złością. W nikłym świetle latarni nie miałem pewności, ale wydawało mi się, że nawet tupnął.

– Wybrałem ciebie, bo Eliah od razu by się ulotnił, Zwierzaka nie mogę znaleźć od chwili, gdy zaczął wieszać girlandy, Żychłoń jest zbyt pochłonięty przygotowaniem do święta, a Urgo jeszcze nie wrócił ze swej rycerskiej wyprawy – powiedziałem. – A poza tym, Gramm... Popraw mnie, jeśli się mylę, ale czy aby ty też nie masz tego wszystkiego dosyć?

Wzmocniłem wymowę mych słów, wskazując kciukiem kierunek, gdzie – jak miałem nadzieję – znajdował się Gryf.

Gramm zamrugał parokrotnie.

– Chodzi ci o te wasze przygotowania do Dnia Zstąpienia Doli? – wycodził, przekrzywiając lekko głowę. – O to, że wszyscy biegają jak podczas pożaru i szykują mnóstwo żarcia, którego i tak nikt nie zje? I sprzątaj pomieszczenia, do których nikt nigdy nie zagląda? I draż się na każdego, kto ich zdaniem zapieprza ciut wolniej od nich?

– Właśnie o to – przyznałem z ulgą.

– Nie, nie mam tego dosyć – oświadczył krasnolud. – Wręcz przeciwnie, jestem tym zafascynowany. Nie mogę się napatrzeć na dorosłych ludzi, którzy nakręcają się do czerwoności z powodu całej serii dupereli podczas przygotowań do święta, które powinno ich zjednoczyć. Co jest z wami nie tak? Za mało pijecie czy może za dużo?

– Za mało – przyznałem skwapliwie.

– Cóż – westchnął krasnolud – na to chyba mogę coś poradzić.

I zgodnie z moimi oczekiwaniami wyciągnął spod kapoty swą największą piersiówkę, tę, którą napełniał jedynie w okolicy Dnia Zstąpienia Doli. Pokiwałem głową, postawiłem latarenkę na śniegu i pociągnąłem tęgi łyk z podanej flaszki. Bimber Gramma smakował tak paskudnie, że w oczach stanęły mi łzy, ale przyniósł osobliwe,

choć chwilowe ukojenie. Rozłożyste gałęzie sąsiednich świerków, przyprószone białym pyłem, nieco się rozmazały, a rozbrzmiewające w mej głowie krzyki dzieci, wrzaski Sary i cyniczne uwagi Andrei, wzmocnione brzękiem naczyń, nagle nieco przygasały. Pociągnąłem drugi łyk i zrobiło mi się jeszcze bardziej błogo.

Miałem wrażenie, że po trzecim całkiem zapomnę o Dniu Zstąpienia Doli, ale Gramm, który sam się uraczył bimbrem, najwyraźniej nie przestawał o tym myśleć.

– Nie mogę też uwierzyć w to, jakie głupie to wszystko – oznajmił i splunął na śnieg. – Dzień Zstąpienia Doli, tak? Sądząc po nazwie, wy naprawdę wierzycie w to, że ta wasza Dola kiedyś po ziemi chodziła, co? Dola, bóstwo tak niesprecyzowane, że nie da rady nawet ustalić jego płci?

– Kapłani mówią, że to nieważne. – Czknąłem. Było mi przyjemnie gorąco. – Mamy prawo postrzegać Dolę taką, jaka nam się podoba.

– Mowa o tych samych kapłanach, którzy uważają leczenie ziołami za czarną magię? – Krasnolud zachichotał. – Niech mnie zgaga, ci to dopiero wiedzą, czym jest tolerancja.

– Czepiasz się, Majster. – Czknąłem ponownie, aż echo poszło.

– Pewnie, że się czepiam. – Gramm zarechotał. – Bo dziur w tym więcej niż w kapocie Żychłonia.

– A gdzie jeszcze dziurę widzisz? – spytałem.

– W tej całej ofierze dla Doli, dla przykładu. – Gramm był ubawiony jak rzadko. – Czemu niby bóstwo, tak potężne, że nawet płci sobie nie musi definiować, miałyby się ucieszyć z koszyczka ze śmieciami?

– To nie są śmieci.

– Czerwona kora? Zmarznięta huba? Pięć ziaren jarzębiny? Skórka chleba i skorupka jajka? – Gramm złapał się za brzuch ze śmiechu. – Szczypta soli i resztki kiełbasy.

– To nie są śmieci! – warknąłem ze złością i wyrwałem mu butelkę z ręki. – To symbole ubóstwa! Jednym z najważniejszych dogmatów wiary jest pogodzenie się z losem, gdyż ten zawsze może być gorszy i...

– Poczekaj, Kociółek – przerwał mi Gramm, zgięty wpół i oparty jedną ręką o drzewo. – Poczekaj, chłopie, bo muszę się wyśmiać do końca...

– Nie ma w tym nic śmiesznego!

– Nic? – Krasnolud zatoczył się i usiadł w śniegu. – W tym, że kapłani zdierają z was daniny i jednocześnie uczą, że warto się przygotować na biedę, nie ma nic śmiesznego?

Pociągnąłem sobie tak mocno, że w trzewiach rozszalał mi się ogień. Gdy odzyskałem wzrok i przestałem kaszleć, spojrzałem złowrogo na wciąż rozchichotanego Gramma.

– Nie jestem religijny – powiedziałem sztywno. – I nie mam powodów, by przepadać za kapłanami. Dzień Zstąpienia Doli, Majster, to jednak rodzinne święto i dobrze jest pokazać dzieciom jego urok, bo...

– Tuż przed wyjściem Andrea opieprzyła cię, że źle pokroiłeś chleb. – Krasnolud uśmiechnął się szeroko. – A gdy wrócimy, opieprzy cię Sara, bo nic nie powiedziałaś, że wychodzisz, a miałaś zająć się rosołem. Potem wywąchają od nas wódkę i opieprzą cię znowu. A potem jeszcze mnie, za to, że cię na złą drogę sprowadzam. Coś przeoczyłem, Kociołek, w sprawie owego uroku?

– Zawsze pojawia się trochę napięcia – wycedziłem. – Bo przygotowania wymagają wysiłku! I trzeba się spieszyć, by zdążyć!

– Bo co? Bo Dola wścieknie się za pajęczyny nad piecem?

– Majster, zaczynam się zastanawiać, jak wy obchodzicie święta w Gwiżdżących Górach! Biegacie na golasa po śniegu i tłuczecie się maczugami? Przypalacie sobie kudły na łydkach i wdychacie dym, by się nabuzować?

– Kociołek – warknął Gramm. – A pizgnąć ci?

Tak szczerą propozycję dobrze było solidnie przemyśleć, więc umilkłem. Zdarzyło mi się kiedyś tłuc z Grammem na pięści i wspomnienie do przyjemnych nie należało, ale kilka łyków jego trunku dodało mi wiary w siebie, a poza tym irytowało mnie, że Majster ma rację, zwłaszcza w kwestii owego uroku, który w istocie mi umykał. Miałem wręcz wrażenie, że im starszy się staję, tym mniej go wyczuwam. Dzień Zstąpienia Doli i następujący po nim Dzień Czystej Uciechy były jedynymi dniami w roku, kiedy zamykaliśmy karczmę, by świętować we własnym gronie. Powinny to więc być dla nas chwile radości i wytchnienia, ale od lat przeobrażały się w dziką, nerwową harówkę, która nie miała wiele wspólnego

z religijnym charakterem święta i zgoła nic z doznaniem rodzinnego szczęścia.

Bolało mnie to, bo doskonale pamiętałem Dzień Zstąpienia Doli z własnego dzieciństwa. Pamiętałem smakowite zapachy dobiegające z kuchni, pamiętałem zbieranie zawartości koszyczka dla Doli, pamiętałem śmiechy, śpiewy i życzenia, które dorośli wygłaszali przy kubku gorącego miodu, pamiętałem wreszcie bajki, które wedle tradycji miały pozostać z dziećmi na zawsze. Były to dla mnie precudowne chwile, na które czekałem od chwili, gdy spadł pierwszy śnieg, i które rozpamiętywałem do chwili, gdy śniegi zaczynały topnieć.

Od lat martwiłem się, że moje dzieci zapamiętają tylko owe powarkiwania i tłuczenie garnkami. Na parę tygodni przed rozpoczęciem przygotowań do Dnia zwierzałem się z tego Sarze i oboje dawaliśmy sobie solenne przyrzeczenie, że tego roku będzie inaczej, ale...

Cóż, nie wychodziło.

Kipiąca we mnie frustracja pchnęła mnie więc do tego, bym zacisnął pięści i warknął:

– Chcesz mi pizgnąć, co? A podsadzić cię?

Gramm warknął coś z furią i rzucił się na mnie. Krasnoludy w istocie były sporo niższe od ludzi i trudno od takiego oberwać w gębę, ale niewiele to dawało, bo Gramm, świadom swoich ograniczeń, tłukł w brzuch bądź niżej, a nikt nie bije mocniej od kowala. Skoczyłem więc mu naprzeciw i uderzeniem barkiem posłałem go na śnieg. W planach miałem przypaść do niego, przygnieść drania i wydusić przyznanie się do błędu, ale Gramm błyskawicznie odtoczył się na bok i kopnął mnie buciorem w tydkę.

Zabolało, nie będę ukrywał. Cofnąłem się, ale niewiele mi to dało, bo krasnolud zerwał się błyskawicznie, złapał mnie za kapotę i cisnął w śnieg. Padłem w zaspę tuż obok tłącej się wciąż latarenki, a Gramm, ku mej zgrozie, postanowił zrealizować mój własny plan. Wbił mi kolana w brzuch i uniósł przerażająco wielki kułak.

– Odwołuję wszystko, co mówiłem o waszych świętach! – wyrecytowałem pospiesznie, zaciskając powieki. – Wszystko, wszyściuteńko!

Cios nie spadał. Odliczyłem do pięciu i rozchyliłem powieki.

– Uff – powiedziałem. – Całe szczęście, że da się z tobą jeszcze sensownie pogadać. Żartowałem z tym...

– Słyszysz? – mruknął Gramm, unosząc głowę.

– Nie – stęknąłem. – Ale jak ze mnie zleziesz, to może coś usłyszę.

Gramm podniósł się i zrobił krok w kierunku drogi. Dźwignąłem się w ślad za nim i złapałem latarenkę.

– Co się dzieje? – spytałem, wiercąc sobie palcem w uchu.

– Ktoś się wydiera – mruknął krasnolud.

W istocie, teraz wyraźnie słyszałem czyjeś głośne przekleństwa. Nie rozpoznawałem głosu, nie rozpoznawałem też słów, ale wyczuwałem gniew i napięcie.

Spojrzałem na Gramma, który zmarszczył krzaczaste brwi. Był równie zdziwiony jak ja, bo podczas Dnia Zstąpienia Doli rzadko spotykało się podróżnych. Trakty tego dnia pustoszały, kto żyw, zawczasu spieszył, by spędzić święto z bliskimi. Popularny przesąd głosił, że ten, kto spędzi Dzień Zstąpienia Doli samotnie, urazi bóstwo, któremu wszak zależało na szczęściu rodzinnym.

Inny przesąd zaś głosił, że Dola obrazi się nawet bardziej na każdego, kto będzie miał sposobność, by pomóc komuś w dotarciu do rodziny, a tego nie robi.

Byłem racjonalnie myślącym człowiekiem i w żadne przesady nie wierzyłem, ale spędziłem w życiu niejedną noc na trakcie i wiedziałem, że nie wolno wahać się z przyjściem innym podróżnym z pomocą. Nim więc Gramm zdołał mnie powstrzymać, uniosłem latarenkę wyżej i krzyknąłem:

– Hej! Hej, człowieku! Co tam się dzieje? Wszystko w porządku?

Obcy zamilkł na moment, ale ja już szedłem w stronę źródła głosu, przedzierając się przez zasy. Gramm podążał za mną, mrużąc coś do siebie. Wiedziałem, że krasnolud nie ma na żadną interakcję ochoty i najchętniej spędziłby kolejny kwadrans na okładaniu mnie po gębie, ale z niechęcią godził się na konieczność przyjścia wędrowcowi z pomocą.

– Kto tam? – zawołał nieznajomy trwożliwie. – Nie zbliżaj się! Jestem uzbrojony!

W jego głosie pobrzmiwała lekka panika.

– Nie wypada grozić bronią w Dzień Zstąpienia Doli – odezwałem się, odsuwając na bok gęstą gałąź świerku, z której posypał się śnieg. – Zwłaszcza kapłanowi – dodałem po chwili, gdy światło latarenki odbiło się od medalionu na futrzanym płaszczu nieznanego.

Ten prychnął głośno – nie wiadomo, z irytacji czy z ulgi – i wysunął rękę spod poły płaszcza, gdzie przypuszczalnie chował broń. Grymas niepewności i przestachu błyskawicznie znikł z jego oblicza, zastąpiony szerokim, jowialnym uśmiechem. Kapłan rozłożył szeroko ramiona, jakby chciał mnie objąć, po czym skłonił lekko głowę.

– Słuszne słowa, nieznanomy – powiedział mocnym, dźwięcznym głosem, ani chybi ćwiczonym w trakcie tysięcy kazań. Poprawił pasek worka na ramieniu. – Nietrudno jednakże zbłądzić podczas takiej śnieżycy, zarówno ciałem, jak i duchem.

– Zdradźcie mi, dokąd zmierzacie, a powiem wam, czy w istocie zbłądziliście – oznajmiłem, unosząc latarnię wyżej.

Kapłan był roslym, barczystym mężczyzną z długą czarną brodą. Nie miał konia ani służącego, co samo w sobie wydawało się dość dziwne. Jeszcze bardziej dziwiło to, że dźwiga na plecach pękaty worek – z mojej wiedzy o sługach Doli wynikało, że za wysiłkiem fizycznym nie przepadają, zwłaszcza podczas świąt religijnych.

– Do Pierzchału zmierzam – wyznał z namysłem. – Ale coś mi mówi, że zmyliłem drogę.

– Droga właściwa – odparłem, również z namysłem, bo coś przyszło mi właśnie do głowy. – Ale jeśli zmierzacie tam na Dzień Zstąpienia Doli, należało wyruszyć przynajmniej trzy dni wcześniej.

Był to wprost idealny moment, by Gramm dorzucił jakąś sarkastyczną uwagę na temat inteligencji kapłanów, ale o dziwo krasnolud nie odezwał się ani słowem. Czułem natomiast na sobie jego coraz cięższy wzrok.

– Do Pierzchału droga daleka – zacząłem i wtedy właśnie odezwał się Gramm:

– A więc nie ma co marnować czasu. Spokojnej drogi, ojczulku, bo my mamy tu kupę roboty. Gdzieś mi flaszka wypadła, a poza tym musimy jeszcze znaleźć czerwony mech, kocią kupę i...

– Droga daleka – powtórzyłem z uporem. – I niebezpieczna – dodałem, gdy z oddali dobiegło wycie wilka. – Zapraszamy więc pod nasz dach! Nie wolno nam przecież zapomnieć o świętych naukach Doli, które nakazują zaopiekować się każdym, kto na Dzień Zstąpienia nie zdoła dotrzeć do swych bliskich!

Kapłan uśmiechnął się szeroko i uklonił lekko.

– Dola będzie wam wielce sprzyjać, mój zacny...

– Jestem Edmund, a wołają na mnie...

– Pierdołek – wtrącił Gramm.

– Kociołek.

– Ja zaś jestem ojciec Tasper – rzekł kapłan i poprawił sobie worek na ramieniu. – Daleko twój dom?

Nie umknęło mojej uwadze to, że kapłan zerknął za siebie, jakby obawiał się, że ktoś się do niego podkrada. Trudno było go winić, bo nocna wędrówka leśnym traktem czyni człowieka bardzo nerwowym, a poza tym ja też już chciałem wracać.

– Niedaleko – powiedziałem z przekonaniem. – Musimy tylko znaleźć to i owo. Czerwony mech, zmarzniętą hubę i pięć jarzębinek. Pewnie mi się przywidziało, ale kapłan chyba wywrócił oczami.

– No to szukajmy.

Karczma Pod Kaprawym Gryfem

Mniej więcej trzy godziny
przed świąteczną kolacją





Gramm znalazł po drodze sposobność, by porządnie zmyć mi głowę.

– Pogięto cię! – syknął. – Na rodzinnym święcie ci zależy, a jakiegoś klechę pod dach wleciesz? Ja naprawdę z trudem wytrzymuję religijne pienia twojej teściowej, a teraz można liczyć na to, że będzie ich trzykroć więcej. O ile Żychłoń nie rozszarpie dziada na strzępy, ledwie próg przekroczy!

– Spokojnie, Gramm – mruknąłem. – Ja mam plan.

Tak mi się przynajmniej wydawało do chwili, gdy wkroczyłem, otrzepując ze śniegu buty, do głównej izby karczmy, wciągnąłem zapach ognia w kominku i ciast w kuchni, po czym oznajmiłem jowialnie:

– Kochani moi, rodzino i przyjaciele! W ten niezwykły dzień Dola nakazuje nam, byśmy byli szczególnie wyrozumiali wobec potrzeb bliskich, dlatego też postanowiłem przyjąć pod dach zbłąkanego wędrowca. Oto ojciec Tasper!

Moje słowa na moment przerwały przedświąteczną krzątaninę i w karczmie na złowieszczo długą chwilę zapadła cisza. Moja teściowa Andrea uniosła głowę znad tacy, na której kroїła kielbasę, i rozdziawiła usta, całkiem zaskoczona. Sara, zarumieniona i lekko spocona, powoli odłożyła wycierany właśnie talerz do zupy i przeniosła na mnie badawcze spojrzenie. Żychłoń, pochłonięty wieszaniem pod powałą girland z jemioty, patrzył zaś na mnie ze skrajnym niedowierzaniem.

– Niech Dola weźmie ten cudowny dom pod swą opiekę. – Ojciec Tasper uniósł obie dłonie, a jego tubalny, melodyjny głos wypełnił całe pomieszczenie. Kątem oka dojrzałem, że drabina, na której stał Żychłoń, zachwiała się i zadygotała, jakby stojący na jej szczycie guślarz w ostatniej chwili uchronił się od upadku. – Z radością pobłogostawię was wszystkich i te cztery przyjazne kąty!

– Ojcze! – Andrea, zaczerwieniona jak nastolatka, wybiegła ku kapłanowi, wycierając dłonie w fartuch, i rymnęła przed nim na kolana, by ucałować jego dłonie. – Ojcze, jakim rada! Zaiste łaskawa Dola musiała skierować cię ku naszym skromnym progom, bo przecież nie ten ochlapus Edmund, co was tu sprowadził!

– Gospodarz Edmund okazał mi wielką życzliwość... – zaczął pojednawczo kapłan, ale Andrea, choć na widok każdego kapłana mięknęła w kolanach i natychmiast przeobrażała się w chlapiącą ze wzruszenia biczowniczkę, nawet w obecności osoby duchownej nie zapomniała o nienawiści do mnie, która napędzała ją od lat.

– Ochlapus! – przerwała kapłanowi bezceremonialnie, podnosząc się. – Żaden tam gospodarz, ojciec wielebny, ale bezbożnik, niecnota i ochlapus! Stąd czuję, jak załatuje od niego gorzałą!

– Ochlapus, że hej! – przytaknął Gramm, który pieczołowicie otrzepał sobie buty ze śniegu, po czym rozsiadł się na ławie pod ścianą. – Święta racja, szanowna pani! Flaszkę mi, bezbożnik, z rąk wyrwał!

– Zawrzyj gębę, gnomie! – warknęła Andrea. – A ty – wbiła we mnie nienawistne spojrzenie – wytrzymaj podłogę! Śniegu żeście, padalce, nanieśli, a ja tu sprzątałam!

– Zgadza się, było czysto – oświadczył Gramm. – Rusz się, Kociołek, i zetrzyj ten syf. Nie słyszałaś, co mamusia powiedziała?

Andrea już się manifestacyjnie odwróciła. Ująwszy kapłana pod ramię, prowadziła go w stronę stołu, pomagając mu zdjąć płaszcz i szepcząc mu coś poufale do ucha.

– Zetrę ten syf – wycedziłem powoli – twoją brodą, gnomie. Bo właśnie zafundowałem nam kilka godzin bez trajkotu tej przekłetej...

– No, dokończ – powiedziała słodko Sara. – Bez trajkotu tej przekłetej... No, i co miało być dalej?

Wady mojej żony można było wyliczyć na palcach jednej ręki drwała, ale były wśród nich zarówno umiejętność bezszelestnego przemieszczania się, jak i bezkrytyczne podejście do własnej matki.

I jeszcze zdolność do przewiercania mnie wzrokiem, przemknęło mi przez przerażony umysł, gdy spojrzałem w jej przymrużone oczy.

Sara, nie spuszczając ze mnie wzroku, przechyliła lekko głowę, co na ogół wystarczało, by rozjuszony doberman zlizął pianę z pyska i rzucił się do ucieczki.

– Znalazłem czerwoną korę, zmarzniętą hubę i pięć małych jarzębinek – bąknąłem, podnosząc koszyk.

– Wiedzmy – stwierdziła Sara. – Zapewne chciałaś powiedzieć „wiedzmy”. Prawda? Bo gdybyś przypadkiem użył innego słowa,

mogłabym przypadkiem zamienić Dzień Zstąpienia Doli na Dzień Nastąpienia Na To, Co Boli.

– Wiedźmy – pisałem, przyznając się do błędu. Odstawiłem koszyczek na ławę przy drzwiach.

– Znakomicie się spisałeś! – Sara spojrzała na matkę, która nachylała się właśnie nad kapłanem i nalewała mu rosółu, nie przestając mówić. – Teraz mama się nie oderwie od tego klechy, co oznacza, że wszystko będę musiała zrobić sama. Jutro zaś wręczy mu datek w wysokości naszych miesięcznych przychodów, o ile oczywiście wcześniej ojciec Tasper nie ucieknie ze strachu przed Żychłoniem tylko po to, by wrócić na czele książęcego wojska. Jesteś, Edmund, geniuszem.

– Czerwona kora, zmarznięta huba i pięć jarzębiniek – wycodził mi Żychłoń nad uchem. – To miałeś przynieść z dworu. Żadna tradycja, barani łbie, nie kazała ci przywlec świętobliwego kaczego gówna ze złotym medalionem.

Nagle zatęskniłem za Zwierzakiem. Za wiecznie uśmiechniętym, beztroskim goblinem, który co prawda charchał i dłubał w nosie, ale nigdy nie miał do mnie o nic pretensji. Niestety, Zwierzaka nie widziałem od dawna. Miałem za to przed sobą rozgniewaną Sarę, pluącą jadem Andreeę, nieprzewidywalnego Żychłonia i Gramma, który najwyraźniej świetnie się moją niedolą bawił.

Opanuj się, huknąłem na siebie w myślach. I zabierz się za swoje problemy. Począwszy od najłatwiejszego.

Przeniosłem wzrok na Żychłonia, który nie odrywał od kapłana wzroku, a w jego spojrzeniu tańczył wszechogarniający ogień. Cóż, był guślarzem, a więc miał wszelkie powody, by darzyć stan kapłański niechęcią, a nawet nienawiścią, ale na wojnę podjazdową wybrał sobie zły czas i złe miejsce.

– Żychłoń – warknąłem, odzyskawszy pewność siebie. – Ani się waż czynić mu krzywdy.

– Krzywdy? – Żychłoń uśmiech i uniósł jedną brew, choć w jego spojrzeniu pulsowała czarna burza. – Ależ skąd. Jakiej znowu krzywdy. Ja tylko spróbuję skurwielowi dać do zrozumienia, by...

– Język – warknęła Sara. – Dzieciaki nie śpią.

Zza futryny wyłoniły się trzy jasnowłose, rozczochrane główki, które przyglądały się uważnie temu, co działo się w izbie.

Oczywiście, że nie spały. Wszak jedną z tradycji Dnia Zstąpienia Doli było zagonienie dzieciaków do łóżek, by nie pętały się pod nogami dorosłym przygotowującym wieczerzę. W tym samym czasie ktoś inny, najczęściej dziadkowie bądź babcie, opowiadali dzieciom bajki o Doli. Sądząc po rozczarowanych minkach naszej córki Salii, jej młodszego brata Edwina oraz najmłodszego z całej trójki Nuuta, o tym elemencie świąt też zapomnieliśmy.

– Ogarnę to – oświadczyłem bojowo. – Opowiem im...

– Nigdzie nie idziesz – warknęła Sara. – Przejmiesz obowiązki mamy, oczywiście po tym, jak wytrzesz podłogę.

W tej samej chwili dzieci zauważyła Andrea. Poderwała się znad kapłana, który pochłaniał misę rosółu w podziwu godnym tempie, i klasnęła z zachwyconą miną.

– Wnuczęta! – zawołała. – Jak cudownie się składa! Tego wieczoru posłuchacie prawdziwie świętych opowieści, gdyż zagościł u nas prawdziwy kapłan! Ojczy, czy zechcesz wyświadczyć im tę łaskę?

Ojciec Tasper ukradkiem zerknął na drzwi, ale w tejże chwili na jego brodatym, lecz szlachetnym, nobliwym obliczu pojawił się szeroki uśmiech.

– Będzie to dla mnie wielki zaszczyt! – zagrzmiął i podniósł się, rozkładając ramiona, jakby chciał objąć dzieciaki. Jeśli zauważył, że na buziach Edwina i Salii pojawiła się konsternacja, a Nuut na wszelki wypadek zwiął, nie dał tego po sobie poznać.

– Wasi rodzice to bez wątpienia wspaniali, pobożni ludzie! – mówił, idąc ku framudze, zza której wyglądały moje dzieci. – A przymioty swe zawdzięczają przede wszystkim temu, że nigdy nie odwrócili się od nauk...

W tym momencie za plecami dzieci stanął Eliah.

Twarz elfa była absolutnie nieporuszona, jakby wyrzeźbiona z jasnego marmuru, ale jego ciemne, lekko zmrużone oczy słały spojrzenie tak twarde, że niemalże materialne. Eliah stał bez ruchu i wpatrywał się w przybysza, a każda sekunda kontaktu wzrokowego pozbawiała ojca Taspiera kolejnych atrybutów jego pozycji. Najpierw opuściła go ochota, by się odzywać, potem wyparował jego uśmiech i przygasła pewność siebie, a na końcu się zgarbił.

Potem zaś, ku memu szczeremu rozbawieniu, rozejrzał się w poszukiwaniu Andrei, wyraźnie poszukując pomocy. Ratunku jednakże u niej nie znalazł, bo moja teściowa, udając, że nic się nie dzieje, skwapliwie zajęła miejsce przy ławie i powróciła do krojenia cebuli.

Andrea nie miała w sobie wiele zrozumienia dla świata i z moimi kompanami nawet nie próbowała się dogadywać. Z pewną życzliwością podchodziła jedynie do Urgo, zawsze chętnego, by wyśpiewywać religijne pieśni i rozprawiać o Doli. Żychłonia traktowała jak powietrze, Gramma lżyła na każdym kroku, co ten najwyraźniej lubił, Zwierzakiem się brzydziła, a Eliaha...

Cóż, Eliaha się bała.

Nie ona jedna. Elf osiągnął bowiem mistrzostwo w uzyskiwaniu piorunującego pierwszego wrażenia, które potem podtrzymywał bez wyraźnego wysiłku. W jego przytomności arogancki rycerz zaczynał się jękać, poborcę podatkowego nachodziły wyrzuty sumienia, a prorok wieszczący koniec świata rezygnował z dalszej kariery. Kapłan zaś, co obserwowałem z rosnącym zachwytem, odnajdował w sobie niekończące się pokłady pokory, co tylko zbliżało go do prawdziwej natury Doli.

Eliah zrobił krok do przodu, nie spuszczać z ojca Taspera wzroku, na co ten cofnął się aż o dwa kroki, zachwiał i usiadł na ławie obok Andrei.

– Ojczulek, jak widać, niedysponowany – westchnął krasnolud, wstając. – A wszyscy inni mają pełne ręce roboty. Dobra, dzieciaki! – oznajmił gromko, kierując się ku drzwiom. – Wujaszek Gramm opowie wam bajkę!


– Majster! – syknęła Sara, stawiając na stole sagan z kiszoną kapustą. – Zachowajże chociaż pozory! Oddawaj flachę!

– Nie mam! – Krasnolud uśmiechnął się rozbrajająco i pokazał jej puste dłonie. – Twój mąż mi zabrał!

I umknął, zanim zdążyłem czymkolwiek w niego rzucić.

Bajka Gramma





– Dobra, dzieciaki! – Gramm zatarł dłonie i ułożył się wygodnie na zydelku ustawionym między dziecięcymi łóżeczkami. – Ależ to twarde. Zaraz sobie odgniotę...

– Wujku! – syknęła Salia ostrzegawczo.

– Rety, dziecko. – Gramm spojrział na nią z mieszaniną zgrozy i podziwu. – Całkiem się w matkę wdałaś. Choć w sumie to i dobrze. To co? Chcecie posłuchać porządnej, krasnoludzkiej bajki?

– Taaaaak! – zawołała chórem cała trójka.

– To wskakiwać mi tu pod kołdry! – zarządził krasnolud. – Bo mi wasza matka znów łeb zmyje, i to po raz pierwszy słusznie!

Salia jednym susem wskoczyła pod koc i wsunęła sobie poduszkę za plecy, by nie opierać się o chłodną ścianę, a Edvin i Nuut, którzy dzielili łóżko, wysunęli głowy spod kołdry. W oczach dzieciaków błyszczały ciekawość i emocje.

– Klasnoluckiej bajki! – powtórzył zachwycony Nuut.

– Takiej o smokach i skarbach! – westchnął Edvin.

– Może być nawet o bitwach – mruknęła Salia. – Cokolwiek, wujaszku, bo na samą myśl o tych babcinych dyrdymałach o Doli robi mi się niedobrze.

Wszystkie dzieciaki jak na komendę otworzyły buzie i wywaliły języki na znak skrajnego obrzydzenia. Gramm zakrztusił się, próbując opanować nagłe rozbawienie, które ostatecznie stłumił serią kaszlnięć.

– Porządnych smoków już dawno nikt nie widział – oświadczył. – Skarbów w zasadzie też nie, odkąd wymyśliliśmy banki. Temat bitew zaś jakoś mi do bajek nie pasuje.

Milczał przez moment, a potem nachylił się przy niewielkim piecyku, z cichym zgrzytnięciem otworzył drzwiczki i wrzucił do środka suche polano. Na moment jego oblicze opromienił blask płomieni, uwydatniając rzadką u niego zadumę. Minęła znów chwila, nim Gramm powrócił na zydel, po czym splótł dłonie, oparł ręce na kolanach, przygładził brodę i powiedział:

– Dobra, dzieciaki. Opowiem wam więc prawdziwą krasnoludzką bajkę.

Gdy w Dolinie nadal trwała złocista jesień i ludzie nawet nie zaczęli jeszcze myśleć o Dniu Zstąpienia Doli, nad Gwiżdżącymi Górami zgromadziły się już ciężkie, szare chmury, zwiastujące rychłe śnieżyce. Było to wielkie zaskoczenie dla wszystkich, a zwłaszcza dla pewnego starego, dumnego rodu, który zawsze szczycił się tym, że wie, co się wydarzy. Książę, który stał na jego czele, przez inne krasnoludy zwany thanem, wdrapał się na sam szczyt swej wieży i spojrzał gniewnie na chmury.

„Czego tu szukacie? – zawołał ze złością. – Wasz czas jeszcze nie nadszedł. Pasterze nie zdążyli spędzić swych owiec, a na naszych poletkach wciąż trwają zbiory! Nasi kupcy nie wrócili jeszcze z Doliny z zapasami na zimę. Nie wiecie, że gdy zasypiecie śniegiem nasze trakty i ścieżki, wiele rodzin zostanie rozdzielonych na zawsze?”

Chmury jednak powoli płynęły nad szczytami gór, prosząc tu i ówdzie drobnym śniegiem. Nie słuchały próśb thana, nie słuchały jego wrzasków i przekleństw. Ten zaś krzyczał i wygrażał się im, aż opadł z sił, a wtedy ujrzał, że nie jest na wieży sam. Za jego plecami stała bowiem jego żona, zacna thani, która słuchała jego bezsilnego gniewu i w głębi serca podejmowała już decyzję.

„To na nic, mężu – powiedziała. – Chmury nie słuchają nawet ciebie. Może jednak posłuchają tego, który jest potężniejszy od ciebie, ode mnie i od wszystkich krasnoludów w Gwiżdżących Górach”.

„Czyżbyś, żono, chciała rozmawiać z Ptaszyskiem?” – zadrwił than.

„Owszem – przytaknęła thani. – Bo czasem kilka słów wypowiedzianych szeptem wywiera większy skutek niż setka wywrzeszczanych”.

„Lecz Ptaszysko nie ukazało się nikomu z naszego plemienia od wielu lat!” – Than śmiał się gorzko.

„Być może dlatego, że ci, co chcieli z nim rozmawiać, darli się, zamiast mówić” – odparła thani.

„Codziennie spoglądam na niebo!” – upierał się than.

„Jesteś pewien, że Ptaszysko pojawia się akurat tam?” – spytała thani.

Nie słuchając już pustego śmiechu męża, zeszła do swej komnaty, a tam założyła ciepły kożuch, chwyciła za okuty kij i ujęła koszyk z chlebem oraz owczym serem, po czym ruszyła w góry, by odnaleźć Ptaszysko.

Ptaszysko bowiem, co musicie wiedzieć, jest dla krasnoludów tym, czym Dola dla ludzi. Od wieków niestrudzenie unosi się nad Gwiżdżącymi Górami, a że wzrok ma bystry, wypatrzy każdy zły postępek. Dostrzeże też każdego, kto znalazł się w biedzie, i przybędzie mu z pomocą, o ile ten ma czyste serce i prawą duszę. Nic więc dziwnego, że gdy któryś z naszych szczęśliwie uwalnia się od problemów, mawiamy: „Padł na ciebie cień Ptaszyska”.

Od wielu lat jednakże cień Ptaszyska na nikogo nie padł i thani, przemierzając górskie ścieżki, długo słyszała echo drwin swego męża. Była jednak odważna i uparta jak młoda brzoza, która wyrasta na ścianie klifu, i parła naprzód, choć śnieg padał coraz gęstszy i ledwie widziała ścieżkę.

Przyszło jej do głowy, by zawołać Ptaszysko, ale pokręciła głową. Wszak w górach nie wolno krzyczeć, bo można ściągnąć na siebie lawinę albo, co gorsza, zwrócić na siebie uwagę górskich rozbójników. Szła więc przez śnieżycę bez słowa skargi i modliła się w duchu do Ptaszyska.

„Zjaw się – prosiła go. – Przybądź, bo mój lud znalazł się w wielkiej opresji. Wzywam cię w imieniu nas wszystkich, bo chcę z tobą zawrzeć umowę”.

Musicie też wiedzieć, że dla krasnoluda modlitwa nie polega na zasypywaniu bóstwa dziesiątkami próśb. Każdy krasnolud, który odezwie się do Ptaszyska, musi mieć gotową propozycję. Musi obiecać, że w zamian za jego interwencję zrobi coś ważnego. Byli tacy, co za pomoc Ptaszyska gotowi byli oddać część zapasów głodującym. Inni budowali mosty, pomagali w naganianiu owiec, wyprawiali się na rozbójników albo przynajmniej wyciągali przyjazną dłoń do członków rodziny, z którymi się pokłócili.

Thani nie miała jeszcze pojęcia, co zaproponuje Ptaszysku, ale była gotowa oddać mu wiele. Przeżyła w górach niejedną zimę

i nieraz widziała głód i cierpienie, czego za wszelką cenę chciała teraz uniknąć.

Tymczasem śnieżycy stawała się coraz dokuczliwsza i thani zaczęła się zastanawiać, czy mądrze uczyniła. Pogrążona w myślach, potknęła się o coś, co w pierwszej chwili uznała za kamień, ale gdy się podniosła, zrozumiała, że przewróciła się o wielki paluch górskiego olbrzyma.

Pewnie nie wiecie, kim są górscy olbrzymi, prawda? Cóż, nie schodzą często do Doliny, a i po Gwiżdżących Górach nie włączają się już tyle co kiedyś, bo coraz trudniej im znaleźć zaciszną grootę, gdzie mogliby sobie odpoczywać i dumać. Olbrzymi bowiem są tak wielcy, że czas dla nich płynie o wiele wolniej, a więc gdy tylko sobie podjedzą, pogrążają się w rozmyślaniach, które trwają wiele dni.

„Któż to po mnie łązi?” – zagrział górski olbrzym.

„To ja – odparła thani. – Wybacz, że potknęłam się o twój paluch. Czyżby to był twój ulubiony?”

„Trudno powiedzieć – zmartwił się olbrzym. – Dawno swoich paluchów nie widziałem, jeśli mam być szczery. Może pora, by się im przyjrzeć i wybrać faworyta?”

„Warto by się pospieszyć – stwierdziła thani. – Niedługo spadnie tu mnóstwo śniegu, a wtedy nie zobaczysz ich aż do wiosny”.

„To by było wielce niefortunne – przyznał olbrzym. – Lubię swoje paluchy, a ostatnio jakoś straciłem z nimi kontakt. Głównie przez to, że są tak daleko ode mnie, bo aż na ziemi!”

„Ja natomiast widzę je doskonale – powiedziała thani. – Pozwól więc, że ci je dokładnie opiszę, a ty mi powiesz, który jest twoim ulubionym”.

Górski olbrzym ucieszył się tak bardzo, że postanowił sobie z radości poskakać, co na szczęście thani mu szybko wyperswadowała. Po jakiejś godzinie górski olbrzym ustalił, że jego ulubionym palcem jest najmniejszy na lewej stopie, na co thani zaproponowała mu, by przeszedł się wraz z nią szerokim szlakiem, by zyskać pewność.

Tak też się stało i olbrzym, samemu o tym nie wiedząc, udeptał najważniejszy szlak dla wracających z Doliny kupców. Następnie thani przypomniała mu, że jego pępek nadal nie ma imienia, co wielce olbrzymowi zmartwiło. Naradzali się przez kolejną godzinę, aż

thani udało się wymyślić znakomite imię, co wprawiło olbrzyma w doskonały nastrój. Jeszcze szczęśliwszy poczuł się, gdy thani zasugerowała, by uczcili tę chwilę, wyłapując wszystkie zagubione owce w górach. Olbrzym, wysoki i chudy, nadawał się do tego znakomicie, a w trakcie znoszenia owieczek na hale przypomniał sobie, że nie ma pojęcia, jaka liczba następuje po dziesiętności. Thani rzecz jasna postanowiła mu pomóc.

I tak płynął dzień za dniem. Chmury stały na Gwiżdżące Góry tumany śniegu, ale szlaki pozostawały przejezdne, zbójcy trzymali się z dala, nikt nie cierpiał głodu, a dzieciaki w każdej krasnoludzkiej wieży codziennie słuchały opowieści o sprytnej thani i poczciwym górskim olbrzymie, którego tak pochłonęły rozmaite rozmyślenia, że bezwiednie pomagał całemu plemieniu.

Sama thani zaś zrozumiała, że Ptaszysko objawiło się jej pod postacią olbrzyma, a jedyną zapłatą, jakiej zażądało za swą pomoc, był jej czas oraz jej pomysły. Nie trzeba chyba dodawać, że zima, choć zaczęła się wcześniej, wcale nie okazała się straszna i krasnoludzkie plemię bez trudu doczekało wiosny, kiedy to górski olbrzym, znużony kilkoma miesiącami ciężkich rozmyślań, położył się do snu na drugą porę roku.

– No – stwierdził Gramm i klasnął w dłonie, rozbudzając zasłuchane dzieci. – Podobało się?

– Fajna bajka – przyznał Edvin. – Choć myślałem, że dojdzie do jakiejś bijatyki...

– Poczekaj, aż wujek Urgo wkroczy z własną bajką. – Krasnolud zachichotał. – Nie wiem, czy będzie w niej cokolwiek oprócz bijatyki! Świętobliwej, ale wciąż bijatyki!

Z dołu dobiegło trzaśnięcie drzwiami, po którym rozległy się podniesione głosy. Gramm dzwignął się ze stęknieniem.

– Cóż, dzieciaki – mruknął. – Chyba pora, bym już wam życzył dobrej nocy. Nie wychodźcie na korytarz, bo przeciągi hulają. Zaraz ktoś tu mnie zastąpi.

Ruszył ku drzwiom, ale zatrzymało go pytanie Salii.

– Wujku, a czego ta bajka nas uczy?

Gramm odwrócił się i spojrzał małej prosto w zamyślane niebieskie oczy.

– Tego, że wystarczy odrobina zapału, a dasz sobie radę ze wszystkim.


– A kim była ta thani?

Krasnolud uśmiechnął się lekko, a w jego spojrzeniu na moment zawitała mgła.

– Fajną babką była – mruknął. – No nie?

Karczma
Pod Kaprawym Gryfem
Dwie godziny do świątecznej kolacji





Największym problemem związanym z Eliahem było to, że przeklęty elf przypominał letnią ulewę – pojawiał się, zaznaczał swoją obecność i znikał bez śladu. Tym razem zabawił w izbie gościnnej dokładnie tyle, ile moim dzieciakom zajmowało wychłęptanie misek z owsianką na słodko, a więc bardzo, bardzo krótko.

O wiele za krótko.

Z chwilą, gdy się odwrócił, wyraźnie znudzony, i odszedł, w panującej w Gryfie atmosferze zaszła zauważalna, niemalże materialna przemiana.

– Od razu lepiej się oddycha – stwierdziła moja teściowa, po czym wyprostowała się i demonstracyjnie wciągnęła powietrze w nozdrza. – Sara, stanowczo powinnaś pozbyć się zarówno tego rozpitego, zbereźnego gnoma, jak i tego...

Zatrzęsła się.

– Tego obleśnego upiora! – dodała z nienawiścią.

Wypity alkohol i rozpamiętywana rezygnacja uczyniły mnie samobójczo odważnym i nagle nabrałem ochoty, by powiedzieć coś złośliwego. Przyszło mi na przykład do głowy, by zrobić jakąś aluzję do tego, że moja droga teściowa, szczycąca się mianem świętobliwej i statecznej, z wielkim skupieniem podgląda owego obleśnego upiora, gdy ten chodzi bez koszuli po podwórzu w letnie popołudnia, ale po prostu nie zdążyłem. Andrea bowiem, nie robiąc przerwy na nabranie oddechu, wygłosiła najbardziej przerażającą kwestię, jaką mogłem tego wieczoru usłyszeć.

– Jestem otoczona poganami, drogi ojcze! – westchnęła, biorąc ojca Taspera za ręce, na co ten się wyprostował, ujęty jej wylewnością. – Pomóż mi więc wnieść więcej świętości pod ten dach. Zaśpiewajmy ku chwale Doli!

Sara, niosąca tacę z pokrojoną kiełbasą do kuchni, zamarła w pół kroku i ją odłożyła. Spojrzeliśmy po sobie z nagłą zgrozą. We wzroku żony nie widziałem już żadnej urazy, co było w sumie jakąś tam pociechą, ale raczej mizerną w obliczu popisów wokalnych mej teściowej. Andrea jakiś czas temu uznała, że śpiew to idealny sposób na okazywanie Doli szacunku, do czego szybko dorobiła teorię, wedle której Dola dokładnie tego oczekiwała. Śpiewała więc

niestrudzenie przy każdej możliwej okazji, na skutek czego w Gryfie bez przerwy upuszczano naczynia, trzaskano drzwiami i wściekle przeklinano. Śpiew Andrei kojarzył się bowiem z dźwiękami, które wydawałby kot, gdyby ktoś upychał go warzuchwią w rozgrzanym garnku, a od czasu do czasu przechodził w ryk żubra z szerszeniem w dupie. Ze wszystkich znanych mi ludzi jedynie Urgo był skłonny uznać popisy mej teściowej za formę sztuki. Nawet Sara, o wiele życzliwiej nastawiona do niej ode mnie, była przerażona na samą myśl o świątecznym koncercie.

– Może... Może jeszcze nie teraz? – wybełkotałem. – Trzeba zrobić barszcz! I mięso zamarynować...

– To na co czekasz, ochlapusie? – warknęła Andrea i przesunęła ku mnie tacę, na której leżała pokrojona cebula i wielka, nietknięta jeszcze nożem kielbasa. – Ja ciężko pracowałam, kiedy ty piłeś wódkę z tym cuchnącym gnomem. Swoje już zrobiłam, a więc pora, byś sam się wziął do roboty! Co więcej, powinienes okazać mi wdzięczność za to, że próbuję natchnąć świętością twój bezbożny dom!

– To także jest mój dom! – zareagowała ostro Sara, na co Andrea obdarzyła ją współczującym spojrzeniem i oznajmiła:

– Wiem, dziecko. Wiem, jak ciężko ci z tym pijakiem i jego bandą odmieńców, dlatego też...

Klasnęła nagle w dłonie, jakby odkryła coś niezwykłego.

– Wiem! Usiądź ze mną! – zawołała z upiorną radością i wyciągnęła ku Sarze rękę. – Zaśpiewajmy razem ku czci Doli!

– Tak, oczywiście! – odezwał się ojciec Tasper. – Wypada wszak, by pani domu zadbała o jego atmosferę. Zasiądźże wśród nas, pani!

Nigdy w życiu nie widziałem mojej teściowej tak szczęśliwej. Zrobiło mi się niedobrze i natychmiast przeniosłem wzrok na Sarę. W jej szeroko otwartych, przepięknych oczach błysnęła prośba o pomoc, na co nie umiałem nie zareagować. Już ruszałem, by złapać ją za rękę i wywlec na śnieg lub zrobić coś jeszcze bardziej nieodpowiedzialnego, ale na szczęście wyręczył mnie Żychłoń.

Guślarz tanecznym krokiem wpadł między kapłana i Sarę tak, że ta znalazła się za jego plecami. Zaskoczony ojciec Tasper cofnął się nieco, a Andrea drgnęła, jakby chciała się podnieść, jednak Żychłoń błyskawicznie zawładnął przestrzenią wokół siebie. Z głośnym

chrobotem przysunął sobie ciężki zydel, pacnął wielkimi łapskami w swe kościste kolana i uśmiechnął się upiornie.

– No to sobie pośpiewamy! – oświadczył z entuzjazmem szaleńca, który uwolnił z pniaka siekierę.

Zacisnąłem powieki.

Bajki i legendy mówiły, że kiedyś w Dolinie znano wiele rodzajów magii, ale dzięki połączonym wysiłkom kapłanów Doli oraz króla Rotgiera, panującego tu kilkadziesiąt lat temu, wszystkich magów, czarowników, upiorników, guślarzy, wszystkie wiedźmy i resztę rzucającego czary towarzystwa wygubiono bądź rozpędzono na cztery wiatry, a sama magia została wyjęta spod prawa. Dzięki Żychłoniowi, jednemu z ostatnich guślarzy w Dolinie, wiedziałem co nieco o dwóch jej odmianach.

Pierwsza, subtelna i mało zauważalna, wydawała się czymś równie naturalnym jak talent śpiewaczy czy rzeźbiarski. Obdarzony nią człowiek potrafił przewidzieć pogodę, wyczuć zasadzkę w lesie, uspokoić rozszalałego konia, uśmierzyć gorączkę u dziecka czy wskazać dobre miejsce na budowę domu, a na tego, kto mu podpadł, umiał zesłać niekończące się zatwardzenie. Dzięki tym zdolnościom, połączonym z wiedzą o ziołach, ludzkim ciele oraz ludzkiej naturze, guślarze przed wiekami wyrosli na szanowanych przywódców, co oczywiście kapłanom bardzo przeszkadzało.

Równie mocno przeszkadzał im zapewne inny rodzaj magii, polegającej na rzeźbieniu glifów. Warunkami jej skuteczności były przynajmniej iskierka mocy magicznej u rzeźbiarza, znajomość prastarego alfabetu zwanego glifangiem oraz wykorzystanie naturalnych surowców takich jak drewno, kamień, róg czy skóra. Wówczas wyrzeźbione przedmioty zyskiwały nadprzyrodzoną moc i w zależności od tego, co guślarz na nich zaznaczył, leczyły, zabijały, odpędzały Złe, usypiały, przewracały i tak dalej. Cała karczma była pokryta podobnymi inskrypcjami, dzięki którym stała się bodaj najbezpieczniejszym miejscem w Dolinie, za co byłem Żychłoniowi bardzo wdzięczny.

To, że wykorzystywał obie swe moce, by mścić się na ciemieżcach, nie przestawało mnie jednak niepokoić. Na ogół guślarz miał w sobie tyle przyzwoitości, by nie rozgrywać swych niecznych gier w Gryfie, ale złośliwy błysk w jego oku zdradzał, że

ojciec Tasper będzie mógł się uważać za szczęściarza, jeśli ze spotkania z Żychłoniem wyniesie jedynie tygodniową sraczkę.

Sara złapała mnie za rękę i zaciągnęła do kuchni, gdzie owionął nas kojący zapach piekących się ciast.

– Co tu się, do cholery, wyprawia? – syknęła. – Obcy kapłan pod naszym dachem? Popisy wokalne mamy? A teraz w to wszystko miesza się jeszcze Żychłóń? Edmund, czy myśmy zrobili coś, co nie spodobało się Doli?

– *Dolo, która czuwasz nad nami* – zagrzmiął ojciec Tasper.

– Powinno być: „która pieczę masz nad nami”! – poprawiła go uprzejmie Andrea.

– Tak, oczywiście – wymamrotał kapłan. – Pamięć już nie ta co kiedyś. Niech Dola błogostawi swej uważnej córce. A więc... *Dolo, która pieczę masz nad nami...* – podjął.

Z miejsca, w którym stałem, widziałem, jak unosi ramiona, jakby chciał objąć jednocześnie Andreę i Żychłonia.

– *Miejże litość nad grzesznikami* – zawtórowała mu Andrea, na co kapłan zacisnął oczy jak człowiek, który wie, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia i pozostaje mu jedynie brnąć naprzód.

– Nie wydaje mi się, byśmy w czymś zawinili. – Pokręciłem głową. – Niebezpiecznie zrobiło się dopiero teraz.

– *Gdyż błędzenie to ludzka natura* – dołączył do śpiewu Żychłóń osobliwie czystym, pięknym głosem. – *Taka uroda życia ponura.*

Nie miałem pojęcia, co przeraża mnie bardziej – beznadziejne rymy czy może to, że Żychłóń właśnie położył łapsko na ramieniu niczego niespodziewającego się kapłana i przygarnął go do siebie jak najlepszego przyjaciela. Sytuacja stawała się coraz dziwniejsza i coraz bardziej napięta, a ja nagle zrozumiałem, że będę musiał odciągnąć stukniętego Żychłonia od kapłana, zanim guślarz postanowi – na przykład – że pożre go żywcem.

Na szczęście ocaliło mnie zrządzenie losu – w chwili, gdy już ruszałem do izby gościnnej, niespodziewanie rozległo się walenie do drzwi. Ojciec Tasper aż podskoczył i odwrócił się za siebie, natychmiast zapominając o śpiewaniu.

– Jest tam kto? – rozległo się stłumione wołanie z zewnątrz. – Ejże, otwórzcie! Kto by myślał w taką noc uczciwym ludziom drzwi

przed nosem zatrzaskiwać!

Andrea spojrzała na mnie z przyganą.

– No, ruszże się! – warknęła na mnie. – Otwórz te drzwi! Widział go ojciec? – zwróciła się do nieoczekiwanie rozkojarzonego kapłana. – Nie dość, że ciągle pijany, to jeszcze leń cuchnący!

Posłuszny karczmarzowskiemu odruchowi ruszyłem ku drzwiom, ścigany spojrzeniami wszystkich obecnych.

– Jest tam kto? – użalał się gość. – Otwórz ktoś drzwi, do ciężkiej cholery, bo zaraz tu zamarznię!

– Jak on znalazł się pod drzwiami? – syknęła Sara. – Edmund, znowu zapomniałeś zamknąć furtkę?

– To Gramm zapomniał, nie ja – pisałem równie przekonująco jak moje najmłodsze dziecko, a potem odsunąłem skobel i otworzyłem szeroko drzwi.

Odruchowo odskoczyłem. Sara krzyknęła i skoczyła naprzód, Andrea pisnęła i zakryła oczy, a Żychłoń zaklął głośno, zrywając się z miejsca. Do wnętrza izby gościnnej, wśród śnieżnej zamieci, podmuchów lodowatego wiatru i echa histerycznego szczykania Paprocha, wtoczył się bowiem całkowicie nagi człowiek. Zdążyłem zauważyć, że jest niemłodym mężczyzną z długą, oszroniałą brodą. Na włochatych, mokrych od topniejącego śniegu plecach widziałem rozliczne pieprzyki.

O dziwo, jako pierwsza otrząsnęła się Andrea. Moja teściowa poderwała się i popchnęła oniemiałego ojca Taspera, który o mało nie upadł na podłogę.

– Ten człowiek umiera! – wrzasnęła rozdzierająco. – Niechże ojciec mu pobłogosławi!

– Ja nie umieram! – wychrypiał nieznajomy, unosząc głowę. – Odbiło ci, wiedźmo?

I wtedy nastąpił moment, na który długo czekałem. Przecież to ja, na wszystko co święte, byłem gospodarzem tego przybytku. To ja troszczyłem się o to miejsce i decydowałem o tym, co się tu dzieje. To ja powinienem wydawać tu polecenia.

– Sara, rzuć mi koc! – zawołałem. – Żychłoń, chodź, pomóż mi z nim! A mamuśka niech skoczy do kuchni po grzańca!

Prowadziliśmy karczmę od lat i w tym czasie widzieliśmy już wiele, a nawet bardzo wiele. Nauczyliśmy się działać jak prawdziwy zespół,

w którym każdy dokładnie wiedział, co do niego bądź do niej należy. W powietrzu zafurkotał koc rzucony mi przez Sarę, po czym dostrzegłem tylko, jak moja żona obraca się na pięcie i biegnie po schodach na górę, bez wątpienia po jakieś stare ubrania. Żychłóń, który pomógł mi prowadzić przybysza, kopniakiem podsunął mu ławę, na której kiedyś wyrzezał glify wychwytyjące Złe. Po schodach zbiegał Gramm, w którego łapsku dziwnym trafem znalazła się już okuta żelazem pała. Nawet Andrea przypadła do nas błyskawicznie z kubkiem wina w ręku.

Ciałem okrytego kocem mężczyzny wstrząsały dreszcze, ale na jego zarośniętym obliczu pojawił się już rumieniec, a dłonie, którymi ujął kubek, nie dygotały mocno. Podziękował skinieniem głowy i siorbnął kilka razy.

– Pewnie się zastanawiacie – wychrypiał – co mi się stało?

– Też – przyznałem. – Ale zacząłbym od tego, jak masz na imię.

– Mówią mi Hieronim – wymamrotał brodac i upił jeszcze jeden łyk. Strużka wina pociekła mu po brodzie i otarł ją owłosionym przedramieniem. – Albo Baryła. Nie wiedzieć, na Dole, czemu – dodał i zaśmiał się sucho, bez wesołości. – Kupcem jestem. Kupcem, trochę druciarzem, trochę kowalem, trochę złotnikiem. Zabawki robię, czasem ze srebra, ale głównie z miki. Sporo tego sprzedałem w Wichrze, w miastach teraz ludzie kupują dzieciakom prezenty na Dzień Zstąpienia Doli, ale gównu mi z tego przyszło, bo mnie zbójnicy opadli i obdarli do gołego.

Wyprostowałem się i spojrzałem badawczo na Żychłonia i Gramma. Guślarz zmarszczył brwi, a krasnolud przygryzł wargę. Andrea, cofnąwszy się o kilka kroków, skrzyżowała ramiona na chudej piersi i wpatrywała się we mnie oskarżycielsko, jakby nie miała wątpliwości, kto ponosi winę za zamieszanie. Ojciec Tasper zaś siedział za jej plecami i rozglądał się niepewnie, czym całkowicie zaprzepaścił wrażenie, jakie wywarł w chwili wkroczenia do karczmy.

To z pewnością dla niego niecodzienna sytuacja, przeszło mi przez myśl, ale mimo wszystko oczekiwałbym po nim większego opanowania.

Skupiłem uwagę na przybyszu i jego słowach.

– Jeszcze raz i powoli – powiedziałem chłodno. – Zbójcy? Gdzie konkretnie?

– Tam, na trakcie! – Hieronim machnął ręką w kierunku drzwi. – Wskoczyli z krzaków, bronią zamachali, krzycheć zaczęli i tyle. Musiałem oddać im wszystko! Wszyściuteńko!

– Ilu ich było?

– Czterech na trakcie, dwóch między drzewami. Przynajmniej dwóch.

– Jak wyglądali?

– A jak mieli wyglądać? – rozsierdził się Hieronim. – Zarośnięci, okutani w jakieś szmaty, uzbrojeni po zęby! Zbójcy jak zbójcy!

Poczułem na ramieniu dotknięcie delikatnej dłoni. Odsunąłem się, by przepuścić Sarę, która podała gościowi ubranie, a potem musnęła mnie spojrzeniem, w którym troska mieszała się z przestrawieniem.

– Nie mówcie tak głośno – syknęła i wymownie spojrzała na schody, po których przed sekundą zszedł Gramm.


Pokiwałem głową, przytomniejąc w jednej chwili. Bez względu na to, co się działo, były rzeczy ważne i ważniejsze, a nie chciałem, by zamieszanie na dole ściągnęło uwagę dzieciaków. Poza tym nie miałem na dobrą sprawę pewności, że ów Hieronim jest tym, za kogo się podaje, a więc musiałem się zatroszczyć o bezpieczeństwo Salii, Edvina i Nuuta.

– Zaraz kogoś do nich wyślę – szepnąłem.

W tej samej chwili ktoś głośno trzasnął drzwiami na piętrze, a potem rozległo się głucho, zatrważające warczenie, po którym nastąpiły wrzaski przerażenia.

Bajka Eliaha





Elf pochylił głowę i zawarczał wściekle, odsłaniając zęby, nieco dłuższe i ostrzej zakończone niż u ludzi. Czerwony blask z kominka padał na jego bladą, nienaturalnie szczupłą twarz, ale i tak uwagę przyciągały głównie oczy, białe i pozbawione źrenic.

Dzieciaki uciekały z wrzaskiem. Edvin, mimo surowych zakazów rodziców, wczołgał się pod łóżko, Salia ścigała do siebie koce i poduszki, jakby chciała utworzyć z nich barykadę chroniącą ją przed zagrożeniem, a Nuut wbił głowę pod poduszkę i tłukł nóżkami o prześcieradło w desperackiej próbie odpędzenia niebezpieczeństwa.

Elf uniósł ręce i rozcapierzył palce, po czym zawarczał raz jeszcze, głośniejsze i ostrzej. Zaśmiał się złowieszczo, gdy odpowiedziały mu piski dzieciaków, a potem zawarczał po raz trzeci.

I się rozkaszał.

Edvin wyjrzał spod łóżka, a Nuut odrzucił poduszkę.

– To jus koniec? – spytał rozczarowany. – A mozes nas jesce postlasyć?

Eliah opanował w końcu kaszel.

– Nie – przyznał. – Coraz gorzej mi to wychodzi. A może to wy stajecie się coraz odważniejsi?

– Pewnie, że tak! – zapiszczał Edvin, wyłaząc spod łóżka. – Ja nie boję się niczego.

– Nie? – Salia uniosła lekko brew. – A pamiętasz, jak wujek Urgo zapomniał zamknąć drzwi do toalety i wiatr trzepał nimi całą noc? Myślałeś, że...

– To było dawno temu! – przerwał jej nonszalancko Edvin.

– Trzy tygodnie. Góra cztery. – Salia była niebywale rzeczowa.

– Toteż mówię, że dawno temu. – Edvin spojrzał na siostrę z wyższością, a potem, skądś wiedząc, że ta ma rację, przeniósł uwagę na Eliaha.

– Będzie bajka? – spytał z nadzieją.

– Oczywiście, że będzie – rzekł elf i rozsiadł się na podłodze.

– Stlasna? – spytał z nadzieją Nuut.

Elf się zamyślił.

– Nie – odparł. – Chyba nie.

A potem zaczął opowieść.

Daleko, daleko stąd, w krainie, która nazywa się Elfiria, mieszkał pewien chłopiec, który niczego nie umiał.

Kiedy jego rówieśnicy łączyli się w pary, chwytali za ręce i ruszali do wesołych tańców, on wolał stać w cieniu i przyglądać się im obojętnie. Gdy inne dzieci dobierały się w grupy, by wspólnie śpiewać, zamykał się w sobie i odwracał głowę, a gdy tworzyły drużyny, by bawić się w gwiazdy lub grać w podmuchy wiatru, znikał bez śladu i tyle go widzieli. Nic więc dziwnego, że wszystkie inne dzieciaki uznały, że niczego nie potrafi, a on sam się z tym pogodził.

Dla jego rodziców było to wielkie zmartwienie, tym bardziej że zbliżał się Dzień Ujawnienia, jedno z największych świąt w Elfirii. Był to dzień, w którym elfie dzieci pokazywały, czego się nauczyły przez ostatnie lata, a przyglądały się temu ich rodziny, nauczyciele, przyjaciele rodzin i wszyscy, którzy mieli na to ochotę. Zaś chłopiec, który niczego nie potrafił, szybko doszedł do wniosku, że nie chce, by ktoś mu się przyglądał, nawet gdyby posiadał jakiś talent.

Jego ojciec, który słynął w okolicy jako łowca i poskramiacz dzikich koni, pokazywał mu tajemnice swego fachu i chłopiec z początku był nimi zafascynowany, ale stracił cały zapał, gdy zrozumiał, że ojciec usiłuje go przygotować do Dnia Ujawnienia. Wówczas próbę podjęła matka, słynna szwaczka-artystka, ale chłopiec, który już przejrzał zamysły rodziny, nie chciał nawet spojrzeć na nić i igłę. Odwrócił się od wuja, który był mistrzem kowalstwa, od ciotki, sędziwej już aptekarki-uzdrowicielki, oraz od dziadka, który wyrabiał cudowne lampiony. „Ja niczego nie potrafię – mówił im. – Na niczym się nie znam”.

A potem milkł na długie godziny.

Z czasem owe godziny przerodziły się w dni, a te w tygodnie, tym bardziej że Dzień Ujawnienia był coraz bliżej i w domu chłopca narastało napięcie. Rodzice krzyczeli na niego i wyzywali go od leni oraz niezdar, a im głośniejsz krzyczeli, tym chłopiec bardziej zamykał się w sobie. W końcu ojciec stracił resztki cierpliwości i oznajmił:

„Jesteś jedynym dzieckiem w okolicy, które w Dniu Ujawnienia nie pochwali się niczym! Okryjesz nas wielkim wstydem!”

„Nie – powiedział chłopiec. – Tak się nie stanie”.

Tej samej nocy spakował swój tobołek i opuścił rodzinny dom.

Kochał swoją rodzinę, ale czuł, że narastające napięcie ciąży mu coraz bardziej, a Dzień Ujawnienia wydawał mu się istnym koszmarem. Wyruszył w drogę z przeświadczeniem, że jeśli opuści rodzinną osadę, wszystkim będzie się żyło łatwiej. Już podczas pierwszego noclegu zrozumiał, że na pewno łatwiej będzie jemu – co prawda bał się odgłosów lasu, ale przynajmniej nie słyszał już podniesionych głosów rodziców, którzy nie przestawali o nim rozmawiać, i wiedział, że następnego dnia nie będzie musiał chować się przed innymi dziećmi. Patrzył na gwiazdy, wsłuchiwał się w ciszę i uśmiechał się do siebie, a w sercu po raz pierwszy czuł spokój.

Ów spokój szybko wyparował, bo wnet skończyły się zapasy, które chłopiec zabrał z rodzinnego domu. Co więcej, usłyszał nawoływania rodziny i sąsiadów, którzy próbowali go znaleźć. Ruszył więc w głąb lasu, by przed nimi umknąć, ale robił się coraz bardziej głodny, a las stawał się coraz bardziej tajemniczy i nieprzyjazny.

Chłopiec, który niczego nie umiał, szedł szybko i się nie poddawał. Wkrótce głosy wołających go elfów ucichły, a wtedy zrozumiał, że naprawdę zabłądził. Nie zdziwiło go to wcale – przecież na niczym się nie znał – ale mimo to nie czuł strachu. Liczyło się dla niego tylko to, że nie musiał odpowiadać na niczyje pytania. Nie musiał z nikim się bawić i nie musiał spełniać niczyich oczekiwań. Po raz pierwszy w życiu czuł się w pełni szczęśliwy, choć wiedział, że to szczęście długo nie potrwa.

Usiadł więc, by posłuchać ciszy w lesie, i sprawiło mu to wielką przyjemność. Słuchał jej i słuchał, a przez jego umysł, wreszcie wolny od zmartwień, nie przemknęła najmniejsza nawet myśl. Zaburczało mu natomiast w brzuchu, raz, drugi, trzeci, potem znowu. Był już naprawdę głodny, ale...

Ale wtedy uświadomił sobie, że nieopodal rosną smaczne jagody.

Nie wiedział, skąd to wie – przecież na niczym się nie znał – ale nie zastanawiał się nad tym cudem i szybko zaspokoił głód. Niebawem odkrył, że gdy wsłucha się w ciszę lasu, może dotrzeć do innych sekretów. Umiał znajdować ptasie jaja. Zbierał jadalne

grzyby. Łowił ryby. Wymijał tereny łowieckie rosochałów i znikał z oczu leśnym smokom. W porę wykrył obecność głodnego niedźwiedzia. Wędrował więc, spał, jadł i pił, a nigdy wcześniej nie był tak szczęśliwy.

Aż któregoś dnia pomyślał sobie, że wędruje już samotnie od wielu dni i nie pogardzi towarzystwem, ale tylko takim, które nie będzie mu przeszkadzać. Las oczywiście usłuchał jego prośby i chłopiec, który niczego nie potrafił, nagle wiedział, którą ścieżką należy podążać, by owo towarzystwo odnaleźć. Szedł więc dniem i nocą, zaciekawiony, z kim przyjdzie mu się spotkać, aż niespodziewanie usłyszał trzask tratowanych zarośli, a potem wypadł na niego niifhag.

Chłopiec słyszał już wcześniej o niifhagach, które w dawnych czasach często zapuszczały się nawet i do Doliny. Wiedział, że to istoty o ciałach koni, lecz z ludzkimi tułowiami, pielęgnujące mądrość i chętnie się nią dzielące. Ba, samo słowo „niifhag” w starej mowie elfów oznaczało przecież wędrującą bibliotekę. Chłopiec nie wyobrażał sobie więc, by ktoś mógł chcieć niifhaga skrzywdzić, ale tak właśnie było – uciekinier był bowiem zdyszany i przerażony, a za nim gnało kilku ludzi, uzbrojonych po zęby i wymachujących bronią.

O ludziach chłopiec również słyszał i wiedział, że są zdolni absolutnie do wszystkiego. Ci zaś wydali mu się zdolni tylko do czynienia krzywdy, a więc w okamgnieniu podjął decyzję, by działać. Po tygodniach polowań i wędrówek jego mięśnie były niczym wykute z żelaza. Z prostego łuku z gałęzi leszczyny trafiał w cel z odległości stu kroków, a zaostrzony kij w jego rękach stawał się śmiertelną bronią.

Ludscy łowcy nie mieli o tym pojęcia.

Chłopiec ścigał ich bez litości do chwili, gdy ostatni uciekli z lasu, przysięgając, że nigdy już do niego nie wejdą. Wtedy zawrócił, by się przekonać, czy niifhagowi nic się nie stało. Spotkali się w połowie drogi.

„Jestem niifhagiem – rzekła istota. – Uratowałeś mi życie”.

„Cieszę się – odparł chłopiec. – Bo wydawało mi się, że ja nic nie umiem”.

„Nic? – zdziwił się niifhag. – Moim zdaniem umiesz bardzo dużo. Dobrze biegasz, świetnie strzelasz, znakomicie się kryjesz, a do

tęgo potrafisz dostrzec, że ktoś jest w tarapatach”.

Chłpiec poczuł wówczas wielką wdzięczność do niilfhaga, zwłaszcza że ten doszukał się w nim rzeczy najważniejszej. Wnet zrozumiał, iż w istocie nie potrafi przejść obojętnie wobec czyjejś krzywdy, tym bardziej jeśli widzi krzywdzącego. Podniósł miecz, porzucony przez kóregoś z uciekających w panice łowców, i przeciął nim powietrze.

„Myślisz – zwrócił się do niilfhaga – że będę umiał nauczyć się czegoś jeszcze?”

„Jeśli tylko będziesz chciał – odparł ten. – Jeśli chcesz, sam ci w tym pomogę”.

Chłpiec zawahał się, ale pokiwał głową na zgodę.

Niilfhag był bardzo mądrą istotą i wnet przejrzał naturę chłopca na wylot. Ten zaś wędrował razem z nim, czasami za nim, czasami zaś znikał na całe dnie. Bywało, że rozmawiali, ale znacznie częściej milczeli. Zdarzało się, że chłopiec o coś pytał, a niilfhag udzielał odpowiedzi, krótkiej i zwięzłej. Wnet przyzwyczaili się do siebie, a potem się zaprzyjaźnili i pytania chłopca stawały się coraz bardziej wnikliwe. Niilfhag zaś opowiadał mu o naturze ludzi, elfów i krasnoludów i patrzył, jak chłopiec trenuje strzelanie z łuku i rzucanie liną, aż kiedyś, wyraźnie wbrew sobie, powiedział:

„Nadchodzi czas naszego rozstania. Umiesz już na tyle dużo, by nikt nigdy ci nie powiedział, że niczego nie potrafisz. Czy będziesz umiał dojść do tego, co chcesz robić?”

„Tak – odparł z dumą chłopiec. – Chcę walczyć z krzywdą”.

„Poszukaj więc ku temu okazji. Pamiętaj jednak, że krzywda objawia się pod wieloma postaciami i być może sam jeden nie podążasz. Poszukaj więc sojuszników”.

„Trudno o takich, którzy by mnie zrozumieli” – poskarżył się chłopiec.

„Las i do nich cię doprowadzi”.

„Czym mogę ci się odwdziaczyć za tyle rad i nauk?”

„Niczym. Mam wszystko, czego mi trzeba. Żywię tylko nadzieję, że gdy kiedyś spotkasz kogoś takiego jak ja, będziesz doskonale wiedział, co począć”.

Chłpiec obiecał, że tak właśnie będzie, i wyruszył w kolejną podróż, bo to lubił najbardziej i to też umiał najlepiej.

Gdy Eliah skończył, w dziecięcej sypialni przez moment panowała cisza.

– Fcale nie była stlasna – oznajmił obrażony Nuut i schował się pod kołdrę.

– Fajna bajka – powiedział z namysłem Edvin. – Ale nie wiem, o co w niej chodziło. Bo chyba nie o to, że nie trzeba się uczyć, co? – spytał, patrząc na elfa, który uśmiechnął się lekko.

– Nie – odparł. – Zupełnie nie o to. Trzeba się uczyć, młody. Na każdym kroku. Kiedy tylko możesz i czego tylko możesz, bo nigdy nie wiadomo, co ci się przyda w przyszłości.

– Ja wiem! – Salia wyskoczyła spomiędzy swoich poduszek i klasnęła. – Ta bajka jest o tym, że nie wszystkie dzieciaki mają ochotę śpiewać przed innymi! I świetnie, że wujek nam ją opowiedział! Następnym razem, gdy babcia każe nam śpiewać przed kapłanem, powiem jej, że zdaniem wujka Eliaha wcale nie musimy!

– Dokładnie to jej powiedz – odparł elf, a przez jego oblicze przemknął cień upiornego chłodu, którym odebrał pewność siebie ojcu Tasperowi.

– I całe szczęście, że się tego dowiedzieliśmy – burknął Edvin. – Bo wydawało mi się, że tam na dole widzę jakiegoś kapłana.


– Właśnie. – Eliah bezszelestnie podniósł się z podłogi. – Pora, by dotrzymać mu towarzystwa. Nie wychodźcie z pokoju – odezwał się przy drzwiach. – Zaraz ktoś do was wpadnie z nową bajką!

I wyszedł na korytarz, żegnany okrzykami radości całej trójki.

Karczma Pod Kaprawym Gryfem

Niecałe dwie godziny
do świątecznej kolacji





Czekając, aż dzikie wrzaski dzieciaków ucichną, zerknąłem przez otwarte drzwi kuchni na Sarę, która powróciła do pracy. Z wprawą poruszała patelnię, przypiekając skrawki boczku, a na jej twarzy, opromienionej blaskiem ognia, widniał lekki uśmiech.

Czuje się bezpieczna, pomyślałem, zdławiony nagłym przypiływem wzruszenia. Ufa nam. Wie, że zatroszczymy się o nią i dzieciaki.

Wciągnąłem powietrze przez nos i spojrzałem na Gramma i Żychłonia.

– Odkąd zamieszkaliście pod moim dachem, przez okolice przewinęły się cztery bandy zbójców – wycedziłem cicho, by tylko oni mnie słyszeli. – Z każdej pozostawiliśmy przy życiu jednego, by opowiedział przyszłym pracodawcom, żeby trzymali się jak najdalej okolic Gryfa.

– Z prawie każdej – poprawił mnie Gramm. – Raz się zapędziłem.

– Nie przypominaj mi. – Zacisnąłem na moment powieki, ale podjąłem szeptem: – W każdym razie widzę dwie opcje.

Urwałem i zerknąłem na brodacza, nadal kulącego się przy ogniu.

– Albo nasz gość z jakiegoś powodu nas okłamuje, albo też w okolicy pojawiła się piąta banda – powiedziałem.

– Gadasz głupoty, Kociółek – burknął Gramm. – Byliśmy we dwóch na dworze, zwiedziliśmy całą okolicę i niczego nie widzieliśmy. Nie ma żadnych zbójców.

– Jasne. – Żychłóń pokiwał głową z udawaną powagą. – Przecież nic nie umknie uwadze pijanego krasnoluda w samym środku ogarniętego śnieżycą lasu.

– Ja zawsze zachowuję należyłą czujność! – obruszył się Gramm. – To, że Kociółek zagadywał mnie przez cały czas, to inna sprawa!

– Ubierzcie się ciepło, bierzcie broń i pochodnie – poleciłem. – Rozejrzemy się po okolicy.

– We trzech? – Żychłóń się skrzywił.

– Elish opowiada bajkę, Urgo nie wrócił z wyprawy, a Zwierzak gdzieś się zapodział – mruknąłem. – Z szuflady ich nie wyciągnę.

– O coś innego mi chodzi. – Guślarz zerknął na obu gości. – Nie wiemy, co to za jedni. Naprawdę chcesz, by zostali tu z Sarą?

Rozejrzałem się. Brodacz nadal kulił się przy ogniu, ale zaczynał już prostować plecy i powoli dopijał wino. Nie umknęło mojej uwadze to, że obrzucił kapłana podejrzanym długim spojrzeniem. Sam ojciec Tasper siedział w przeciwnym kącie i opowiadał o czymś wpatrzony w niego Andrei, ale miałem wrażenie, że nie jest do końca skupiony na swoich słowach. Potem zauważyłem, że z deski, na której z rozkazu Andrei miałem zacząć kroić produkty do bigosu, znikła największa kiełbasa.

Uśmiechnąłem się pod nosem i klepnąłem Żychłonia w ramię.

– Sama tu nie będzie – mruknąłem, a potem głośno zawołałem:

– Sara, idziemy na obchód!

Przez tę krótką chwilę śnieżycy znacznie przybrała na sile. Wiatr z posępnym wyciem szarpał za korony drzew lub zniżał lot, by sypnąć w nasze twarze tumanami kłusającego, lodowatego śniegu. Zgarbiłem się odruchowo, po czym zarzuciłem kaptur na głowę i owinąłem twarz szalem.

Współczuję temu Hieronimowi, przemknęło mi przez głowę. Minuty bym nie wytrzymał w tej zawiei.

Paproch ujadał nieustannie, ale nierównomierne wycie wiatru co rusz zagłuszało jego szczekanie. Unosząc pochodnię wyżej, zrobiłem kilka kroków pod wiatr, a potem odwróciłem się ku towarzyszom i krzyknąłem:

– Trzymajmy się blisko siebie! Nie chcę nikogo zgubić w śnieżycy!

Gramm, który w ciągu tej krótkiej chwili zdążył się już przeobrazić w barczystą śnieżną kukłę, pokiwał głową z nieszczęśliwą miną. Żychłoń, na pierwszy rzut oka obojętny na zimno, trzymał pochodnię wysoko i usiłował przebić wzrokiem ciemność.

Ruszyłem naprzód, kryjąc się za zbawienną osłoną muru obronnego karczmy, aż namacałem żelazną klamkę furki i pociągnąłem ją ku sobie. Prześlizgnąłem się na zewnątrz jako pierwszy i dopiero wtedy w pełni uświadomiłem sobie prawdziwą furję burzy oraz bezmiar własnej głupoty. Podczas tak wściekłej

śnieżycy trudno było cokolwiek zauważyć, nie mówiąc już o śledzeniu, a każdy rozbójnik, nawet ten o najczarniejszym sercu, myślał tylko o schronieniu.

Ale ktoś obdarł Hieronima do naga, prawda? Przecież sam się nie rozebrał w samym środku burzy śnieżnej!

Przez krótką chwilę zastanawiałem się, czy nie zawrócić, ale zdecydowanie pokręciłem głową. Musiałem przekonać się na własne oczy, że żadnego niebezpieczeństwa nie ma lub przynajmniej go nie dostrzegam. W przeciwnym razie przez całą wieczność siedziałbym jak na szpilkach i wyrzucał sobie, że nie chciało mi się opuścić cieplej izby, by sprawdzić, czy nic nam nie grozi.

Poza tym nie mogłem wyjść na durnia przed Żychłoniem i Grammem. Cóż, nie żeby się to wcześniej nie przytrafiło, ale nie chciałem, by się do tej myśli przyzwyczaili.

Ruszyłem naprzód pochylony, z pochodnią w prawej ręce. Ogień to przygasał, to znów się ożywiał. Mrużyłem oczy i usiłowałem coś dojrzeć w śnieżycy, ale noc, choć stosunkowo jasna, zazdrośnie kryła przed nami swe sekrety, zwłaszcza gdy dotarliśmy między drzewa. Śniegu błyskawicznie przybywało – podczas wędrówki z Grammem sięgał nam ledwie do kostek, ale teraz zapadaliśmy się znacznie głębiej, a niektóre zasy sięgały już do połowy łydek. Drzewa kołysały się z przejmującym trzaskiem, wiatr nacierał na nas z wyciem, podrywał połę naszych płaszczów i targał płomieniami pochodni. Z każdym podmuchem przenikało mnie coraz dotkliwsze zimno i naprawdę nie wiedziałem, jak nagiemu Hieronimowi udało się tak szybko dojść do siebie po wejściu do Gryfa.

Zresztą, z każdym kolejnym krokiem moja tęsknota za karczmą narastała, a ryzyko ataku zbójców wydawało mi się coraz mnie realne. Byłem już przemarznięty na wskroś i mój początkowy zamysł, by obejść karczmę dookoła, kurczył się błyskawicznie. Spojrzałem za siebie w nadziei, że dostrzegę jeszcze ciemną bryłę Gryfa, ale ujrzałem tylko mych towarzyszy, zakutanych aż po oczy. Gramm spoglądał na mnie spod oszroniałych brwi z czystą nienawiścią, a Żychłoń zdawał się mnie nie dostrzegać, pochłonięty obserwacją lasu.

– Jeszcze kawałek! – krzyknąłem. – Dojdziemy jeszcze do...

Urwałem i machnąłem ręką, nie chcąc się przyznać, że właściwie to nie wiem, dokąd dotarliśmy. W odpowiedzi szyderczo zawył wiatr. Płaszcz łopotął, śnieg wirował, drzewa kołysały się z posępnym trzaskiem. Gramm przeklinał mój ród do trzeciego pokolenia wstecz, czemu akurat nie byłem przeciwny. Gdzieś wyły wilki.

– Dobra! – wrzasnąłem. – Dobra, przyznaję! To był kretyński pomysł! Gówna widać w tej śnieżycy i nawet jeśli są tu jacyś rozbójnicy, mordy im dawno pozamarzały i...

– Kociołek? – zawołał ktoś słabym głosem.

Głos był znajomy i o dziwo dobiegał z góry. Uniosłem głowę, a po mnie zrobili to guślarz i krasnolud.

– Urgo? – stęknąłem z niedowierzaniem.

Urgo, rycerz Doli, jeden z moich najserdeczniejszych przyjaciół i najlepszych znanych mi wojowników, siedział okrakiem na gałęzi wielkiego drzewa i machał do nas. Podbiegliśmy bliżej, potykając się w śniegu i wznosząc wysoko pochodnie.

– Urgo?! – zawołałem raz jeszcze. – Co ty tu robisz?

– Hubę zrywam! – odchrzyknął rycerz i na dowód swych słów upuścił koszyczek na śnieg. Ze środka wysypały się czerwona kora, kawałki huby oraz kilka kiści jarzębiny. – A co sobie myślałeś?

– Odbiło ci? – Zmarszczyłem brwi. – Przecież to ja zawsze zbieram koszyczek dla Doli!

– Tak?! – zawołał Urgo zadziornie. – Tak ci się tylko wydaje! Rok temu zamiast jarzębiny dodałeś wilczej jagody, a twoja kora wcale nie była tak czerwona jak powinna. Kociołek, to Dzień Zstąpienia Doli! Tu trzeba poważnie podejść do sprawy!

– Ależ ja podchodzę poważnie! – wrzasnąłem ze złością, na moment zapominając o zimnie. – Mam inne wyjście? Sara jak mało kto dba o szczegóły, a do tego jej przeklęta matka sprawdza każdy mój krok! Nie wiem, skąd ci się te wilcze jagody wzięły, ale...

– Powiedziałeś: przeklęta matka? – Rycerz usiłował zleźć z gałęzi, ale jego ruchy były niezgrabne, jakby zdążył jednocześnie przemarznąć i zeszywnieć. – To święta niewiasta, Kociołek, i powinieneś ją szanować za... Aaaargh!

Dłoń rycerza zsunęła się z oblodzonego konaru i Urgo z całkiem nierycerskim wrzaskiem zleciał w dół, by z chrzęstem zbroi wylądować prosto u moich stóp.

Gramm ryknął śmiechem, opuszczając niżej pochodnię.

– Szanowna teściowa Kociołka, jak widać, przynosi pecha na całego! – oznajmił. – I to każdemu. Podnieś się, ty blaszaku zardzewiały, weź swój koszyczek i wracamy...

Nagle urwał, wpatrzony w coś na śniegu.

– Huba, co? – spytał, unosząc głowę.

Teraz i ja dostrzegłem, że na śniegu wokół drzewa, na którym schronił się rycerz, roilo się od śladów wilczych łap, powoli zasypywanych przez podmuchy wiatru.

– Uciekłeś przed wilkami? – spytałem z niedowierzaniem.

– Nie uciekłem! – wybełkotał poczerwieniały rycerz, podnosząc się z trudem ze śniegu. – Nie uciekłem, ale się schroniłem na konarach, by... No, odsapnąć! Jestem rycerzem Doli i honor zabrania mi...

– Nie o to mi chodzi, chłopie. – Potrząsnąłem głową. – Bardziej o to, że goniły cię akurat wilki. Rzadko się u nas zdarzają. Słyszeliśmy je dzisiaj co najmniej dwa razy, ale...


– Wilki – stęknął nagle Żychłóń. Na jego zmarzniętym obliczu malowała się czysta zgroza. – Na wszystko, co zgniłe, wilki... Że dopiero teraz to skojarzyłem... Chodu!

– Co? – spytałem nieco ogłupiały. – O co ci...

– Do Gryfa! – wrzasnął guślarz i popędził przez zasy, unosząc pochodnię nad głową. – I to w te pędy, wy durnie!

Bajka Zwierzaka





Słyszając niespodziewanie stukanie do okna, Edvin wrzasnął głośno i wyskoczył z łóżka, by się schować za szafą. Nuut, pochłonięty na powrót gruntownymi oględzinami paluszków u nóg, nawet nie podniósł głowy, a Salia zmierzyła obu braci wzgardliwym spojrzeniem, poprawiła koszulę nocną i podeszła do okna. Złapała za rączkę, a potem otworzyła je mocnym szarpnięciem. Do środka wpadł podmuch śnieżycy, a po nim wskoczył goblin.

– Zwierzak! – wrzasnął z radością Edvin, a Nuut obejrzał się z zainteresowaniem. Na jego okrągłej buzi pojawił się uśmiech.

– Zwierzak!

Chłopcy rzucili się na rozradowanego goblina i z głośnym śmiechem przygnietli go do ziemi.

– No, to wy się tarzajcie – mruknęła Salia – a ja zamknę okno i zgarnę śnieg z parapetu, no nie? Bo przecież ktośby inny miał to robić?

– Czekaście! – stęknął Zwierzak, wyczołgując się spod dzieciaków. – Poczekaście tylko, bo ja...

– Zwierzak! – darł się bez opamiętania Nuut, a Edvin wybijał dziki rytm bosymi stopami na podłodzie.

– Ale będzie impreza! – zawył i wskoczył na łóżko. – Będziemy się tłukli poduszkami, pierdzieli pachami i opowiadali straszne historie!

– Stłasne! – powtórzył Nuut, tak przejęty, że na dłuższą chwilę stracił umiejętność artykułowania słów i tylko nieskładnie bełkotał.

– Poczekaście – syknął Zwierzak i przekradł się pod drzwi. Przyłożył wielkie ucho do dziurki od klucza. – Babcia idzie!

Te dwa słowa zelektryzowały trójkę rodzeństwa. Nuut przestał bełkotać i jednym płynnym wyskokiem wbił się w poduszkę. Salia, najbardziej świadoma tego, o co czepiają się dorośli, złapała szmatkę i zaczęła ścierać mokre ślady pozostawione przez goblina, a Edvin, który odziedziczył po ojcu sporo źle ukierunkowanego bohaterstwa, napał na szafę, gotów zabarykadować drzwi do sypialni.

– Cicho! – rzucił Zwierzak.

Dzieciaki wstrzymały oddechy i wszyscy wyraźnie usłyszeli głos Andrei, który niósł się echem po korytarzu:

– Jeśli ojciec będzie czegoś potrzebował, proszę zawołać. Będę na dole, zajęta przygotowaniami!

Odpowiedział jej niewyraźny, stłumiony pomruk, na co Andrea zareagowała wybuchem perlistego śmiechu.

– Ależ skąd! – zawołała. – Toż to pierwszy Dzień Zstąpienia Doli, kiedy wreszcie gościmy kapłana pod naszym dachem! Jak moglibyśmy pozwolić, by ojciec przegapił naszą skromną wieczerzę! Przyjdę, gdy będziemy gotowi.

Potem rozległy się ciche trzaśnięcie drzwiami i energiczne kroki babci.

– Cę siusiu – jęknął przerażony do granic Nuut, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Wszyscy wsłuchiwali się w zbliżające się kroki, które na ogół zwiastowały konieczność sprzątnięcia, pójścia spać, nauki świętych pieśni lub podobne okropności. Na szczęście tego wieczoru babcia miała inne sprawy na głowie i minęła sypialnię dzieci, nawet nie zwalniając, a cała trójka skwitowała to głośnymi westchnieniami ulgi.

Zwierzak ostrożnie uchylił drzwi i wyrzął na korytarz.

– Piątka – mruknął, cofając się.

– Co? – spytał Edvin, czuwający najbliżej.

– Piątka – rzekł goblin, zamknawszy drzwi. – Ulokowała kapłana w komnacie numer pięć. Tak jak myślałem!

W jego przymrużonych ślepiach błysnęła wesołość.

– Cę siusiu – powtórzył Nuut i rozejrzał się w poszukiwaniu pomocy.

Salia westchnęła i pokręciła głową ze znużeniem podpatrzonym u rodziców, po czym wyjęła spod łóżeczka cynowy nocniczek, pomogła bratu ściągnąć portki i wyćwiczonym chwytem posadziła go na nocniku.

– Co tam się na dole dzieje? – spytała głośno, by zagłuszyć plusk moczu o ścianki nocnika. – Zamieszanie jak rzadko kiedy!

– Nic! – skłamał niewinnie goblin i ściągnął kurtkę wraz z czapką. – Zupełnie nic!

– Nic? – Salia zmrużyła oczy.

– Mam dla was kielbachę! – oznajmił radośnie Zwierzak. Wpakował dłonie do kieszeni kurtki i wyciągnął dwie tłuste kielbasy, którymi zamachał z triumfem w powietrzu. – Zwinąłem je z izby gościnnej! Z tacki do krojenia!

– Ale jak? – spytał oszołomiony Edvin, który był wielkim admiratorem sztuczek Zwierzaka.

– Siedziałem na krokwiach! – Goblin zachichotał. – A trzymam tam wędkę!

– Jus! – oznajmił Nuut i wstał, by podciągnąć portki. – Jus skończyłem. Chyba.

Salia znów westchnęła, ujęła nocnik, otworzyła okno i wyćwiczonym gestem wychlusnęła zawartość na zewnątrz. Do środka wtargnął podmuch zimnego wiatru i wściekłe poszczekiwanie Paprocha, a w powietrzu zatańczyło kilka śnieżnych płatków. Dziewczyna zatrzasnęła okienko.

– Wędką! – powtórzył Edvin z mieszaniną zazdrości i podziwu. Podskoczył, bo coś mu się przypomniało. – A ja zwinąłem z kuchni kalarepę! I dwie bułki! Tu je mam... W sienniku trzymam.

– A ja marchewkę! – dodała Salia, odstawiając nocnik na miejsce. – I kilka rzodkiewek! A z wczoraj mam trochę sera i mnóstwo ciastek.

– I jabusko! – stęknął Nuut, wyciągając coś spod łóżka. – Jabusko. Paploch psyniósł.

– Masz jabłuszko, które przyniósł ci Paproch? – spytał ze zgrozą Edvin, na co Nuut pokiwał z zapałem głową i wbił w pomarszczony owoc oba swoje zęby.

Chłopak pokręcił głową, próbując zapomnieć to, co właśnie zobaczył, i znów przytupnął z entuzjazmem.

– No to mamy imprezę! – zawołał. – Wszyscy do mojego wyrka!

– Mojego tes! – dorzucił Nuut, plując kawałkami jabłka.

Goblin i trójka dzieci, piszcząc i śmiejąc się, wdrapała się do łóżka chłopców i nakryła ich kołdrą, na której rozłożyła wszystkie łupy. Przez chwilę słychać było tylko ciamkanie, mlaskanie i cichy trzask dopalających się bierwion w piecyku.

– Ale nie będziemy już musieli myć zębów? – spytał Edvin z nadzieją.

Zwierzak przerwał oblizywanie paluchów.

- Co? – spytał zbaraniały. – To wy myjecie zęby?
- No – przyznał chłopak.
- A po co?
- Nie wiemy – fuknął Edvin. – Dorośli nam każą.
- Ja mam dwa! – Nuut otworzył buzię pełną kalarepy.
- Dzisiaj jest święto i nie ma mowy o myciu – oznajmiła twardym głosem Salia. – Zwierzak, opowiesz nam bajkę?
- Pewnie, że opowiem. – Zwierzak beknął i strzepnął okruchy na podłogę.
- Będzie stlasna? – wybełkotał Nuut.
- Nie. Chyba nie.

Pewnej nocy król goblinów spadł w nocy z łóżka i uderzył się w łepetynę, co działo się średnio trzy razy w tygodniu i zawsze podsuwało mu pomysły. Tym razem tuż po śniadaniu wezwał największych śmiałków w plemienu i oznajmił:

„Temu, kto przyniesie mi gadającego ziemniaka, oddam moją córkę za żonę”.

U ludzi byłoby to zapewne dość dziwne, ale nie wśród goblinów, które bardzo chętnie podejmują się rozmaitych wyzwań, także tych głupkowatych. Kierują się bowiem zasadą, że nawet jeśli coś jest głupie, to i tak warto to zrobić, by potem było co opowiadać.

Najdzielniejsi z dzielnych – a było ich siedmiu – uznali więc królewski pomysł za genialny i bezzwłocznie wyruszyli w drogę. Pierwszy z nich nie zdołał jednakże nawet opuścić wioski, bo przypomniał sobie, że ma do skończenia mozaikę na wazie. Drugi przypomniał sobie, że już ma żonę i królewska propozycja w sumie go nie dotyczy. Trzeci również był żonaty, ale pod wpływem emocji nie pokorzył faktów i o wszystkim żonie opowiedział. Ta zaś miała maczugę pod ręką i... Cóż, koniec końców trzeci śmiałek również w drogę nie wyruszył. Udało się to czwartemu, ale pomieszały mu się fakty i rozpoczął poszukiwania gadającej kalarepy, przez co wszelki ślad po nim zaginął. Zgubił się również piąty, który po dwóch dniach poszukiwań znudził się nimi, a że było mu wstyd wracać

z pustymi rękami, przystał do innego plemienia. Szóstego zaś coś zjadło na bagnach.

Pozostał więc siódmy, który miał na imię, powiedzmy, Kosior.

Kosior był bardzo dzielny i pomysłowym goblinem. Podobnie jak jego współplemieńcy, słabo pamiętał to, co wydarzyło się wczoraj, i nie umiał w zasadzie się skupić na tym, co będzie jutro, ale za to wspaniale potrafił korzystać z tego, co działo się teraz. Grał więc godzinami na fujarce, taplał się w błocie, tańcował na groblach, lepił fikuśne garnki z gliny i strzelał z łuku do żab, a kiedy mu się nudziło, czytał dzieciom bajki.

Propozycja króla spodobała mu się bardzo, i to wcale nie dlatego, że lubił króla, królową czy gadające ziemniaki. Po prostu uznał, że czegoś tak stukniętego jeszcze nigdy nie robił, dlatego szybko spakował swój tobołek, fujarkę i łuk, a potem wyruszył w drogę.

Podobała mu się taka wyprawa. Skakał z kępy na kępę, brodził w wodzie, taplał się w błocku i ani na moment nie przestawał się uśmiechać. Raz czy drugi wybuchnął nawet śmiechem, tak głośnym, że przebudził mieszkającego w pobliżu bagiennika.

„Ejże! – zbulgotał bagiennik, wystawiwszy łeb nad wodę. – Co to za śmiechy? To porządne bagno i tutaj jest się ponurym!”

Pewnie chcecie wiedzieć, co to takiego bagiennik, prawda? Cóż, sam bym chciał to wiedzieć, bo po prawdzie to żaden goblin nigdy nie zobaczył bagiennika w całej okazałości, a jeśli już do tego doszło, nie zdążył się tą wiedzą z nikim podzielić. Niech więc wystarczy wam to, że bagiennik to wielkie paskudztwo z wrednym usposobieniem i mnóstwem macek.

Bulgocząc ze złością, wyciągnął swe macki w kierunku naszego bohatera, który pisnął ze strachu i rzucił się do panicznej ucieczki. Zwiewał z takim zapamię, że zgoła nie zauważył, że bagiennik już go nie ściga. Pędził przez całą noc i zatrzymał się dopiero następnego dnia. Rozejrzał się z niedowierzaniem i spytał:

„Gdzie ja właściwie jestem? I... I co ja tu robię?”

Uciekał bowiem tak szybko, że zapomniał, co król kazał mu zrobić.

„Na pierwsze pytanie jeszcze ci odpowiem – rozległ się czyjś głos. – Ale z drugim to już musisz sobie sam poradzić”.

Goblin odwrócił się i ujrzał ropuchę, która przyglądała mu się podejrzliwie.

„Zawsze coś – ucieszył się śmiałek. – No to gdzie jestem?”

„Na Gadających Bagnach”.

„Ciekawe. A czemu tak się je nazywa?”

„Bo wszystko tu gada”.

„Wszystko?” – Goblin nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

„Wszystko”.

„Kalarepy też?”

„Głupi jesteś czy co? – zirytowała się ropucha. – Wszystko to wszystko”.

„A arbuzy?”

„Arbuzy akurat nie”.

I wtedy goblinowi się przypomniało, czego właściwie szuka.

„A ziemniaki? – spytał z chytrą miną. – Gadające ziemniaki też macie?”

„Głupi jakiś się trafił – westchnęła z udręką ropucha. – No pewnie, że tak”.

„To zaprowadź mnie do jednego z nich, co?”

Ropucha prychnęła, wciąż urażona, ale poczłapała przed siebie i po zaledwie kilkunastu krokach wskoczyła na głaz i wskazała za siebie płetwą.

„Chcesz gadające ziemniaki, to masz – burknęła, ale niespodziewanie zmrużyła ślepią i spytała: – Słuchaj no... Czy ja cię gdzieś już nie widziałam?”

„Bardzo wątpliwe” – przyznał goblin i podszedł na skraj poletka.

Ukucnął i pogrzebał trochę w wilgotnej ziemi, co zresztą stanowiło jego wielką pasję, aż znalazł sporego ziemniaka. Wyciągnął go i ułożył sobie na dłoni.

„Cześć” – powiedział.

„Cześć” – odparł ziemniak.

„Czyli jednak ziemniaki gadają” – zdziwił się goblin.

„Gadamy, ale niewiele z tego nam przychodzi – poskarżył się ziemniak. – Siedzimy głęboko w ziemi, a tam trudno się do kogokolwiek odezwać, a właściwie lepiej tego nie robić, bo tylko robale przyciągamy. Bywa, że w końcu nas ktoś wygrzebie, ale też nie po to, by porozmawiać! Od razu za noże łapią i tylko skalpować!”

Goblin chciał powiedzieć coś pocieszającego, ale nie zdążył, bo wtrąciła się ropucha:

„A ja jednak ciebie skądś znam. Co ty masz na plecach?”

„Łuk” – bąknął nasz śmiałek, co okazało się koszmarnym błędem, bo ropucha podskoczyła jak oparzona i wrzasnęła:

„Wiedziałam! On ma łuk! To ten drań, który strzela do żab! Brać go!”

W pierwszym odruchu goblin chciał tłumaczyć, że na ogół i tak nie trafia, ale zewsząd nadciągały już płazy, a wszystkie wygrażały, prychały i parskaly. Nie zastanawiając się wiele, goblin cisnął gadające znaleźisko do plecaka i rzucił się do ucieczki.

„Hej! – wydierał się ziemniak. – Co się ze mną dzieje? Gdzie ja jestem?”

„Jesteś w drodze!” – zawołał uciekający goblin.

„To dobrze czy źle?” – spytał ziemniak.

„Lepiej być nie może!” – odkrzyknął goblin.

Żaby i ropuchy doganiały go jednak ze wszystkich stron i po chwili goblin zrozumiał, że bez czyjejs pomocy nie zdoła przed nimi uciec. Wskoczył wielkim susem na gałąź bagienego drzewa i wrzasnął ku niebu:

„Hej, chmurko! A nie zabrałabyś mnie stąd? Zagram ci coś fajnego na fujarce!”

„Czemu nie? – powiedziała chmurka. – Przyda się chwila dobrej muzyki. Te ropuchy na dole strasznie się dziś wydierają!”

Zniżyła lot, by goblin mógł na nią wskoczyć. Ten rozsiadł się wśród jej miękkich kłębow i westchnął z ulgą, a potem spojrzał w dół na oddalające się bagno.

„A można wiedzieć, czemu te płazy się tak drą?” – spytała chmurka.

„Wymyśliły sobie, że strzelam do nich z łuku” – odparł goblin.

„A strzelasz?”

„Nie” – pisnął goblin.

Chmurka milczała przez moment, a potem powiedziała:

„Wiesz co? We mnie też ktoś ostatnio strzelał. Strasznie swędziało! Nie ty to byłeś?”

„Nie! – wrzasnął z przerażeniem goblin. – Ja nie strzelam do chmur!”

„Chyba jednak nie mam ochoty na muzykę” – stwierdziła chmurka i wierzgnęła jak dziki kuc, a goblin wyleciał w powietrze. Wzniesli się

już tak wysoko, że w drodze na dół zdążył sobie parokrotnie obiecać, że już nigdy w życiu nie weźmie łuku do ręki, po czym głośno plusnął do wody.

„Mokre to podróżowanie” – powiedział ziemniak.

„Idzie się przyzwyczaić – przyznał goblin. – Gorzej z żabami. Do nich przyzwyczaić się nie da”.

Z oddali dochodziło już wzmocnione echem rechotanie rozgniewanych płazów, które ani myślały przerwać pościg. Na szczęście nasz śmiałek był nie w ciemną bity i szybko opracował plan awaryjny. Popędził w przeciwnym kierunku, jednocześnie wyławiając ziemniaka z plecaka.

„Będziesz mi, przyjacielu, musiał trochę w tym podróżowaniu pomóc!” – zawołał.

„A nie obierzesz mnie ze skóry?” – chciał się dowiedzieć ziemniak.

„Nie ma mowy!” – odparł ze śmiechem goblin.

Wnet znalazł się w pobliżu ulubionego bajora bagiennika, który akurat zażywał drzemki. Goblin podrzucił ziemniaka i z całej siły trafił nim bagiennika w czoło. Paskuda otworzyła wszystkie sześć oczu i zaryczała:

„Kto się ośmielił?”

„Ro-pu-chy! Ro-pu-chy!” – dobiegło z oddali.

„No właśnie – podpowiedział goblin. – Ropuchy!”

Po czym podniósł nieco skołowanego ziemniaka i ulotnił się dyskretnie, a rozzłoszczony bagiennik rzucił się na ropuchy, wywijając mackami i kłapiąc wszystkimi czterema szczękami. Albo pięcioma. Nie mam pojęcia, czym się to starcie skończyło, ale gadających ropuch już na bagnach nikt więcej nie usłyszał i w sumie dobrze, bo to straszne marudy były.

A nasz śmiałek ruszył w drogę powrotną do swojej wioski. Ziemniak okazał się ciekawym towarzyszem podróży i o wszystko goblina wypytywał, a potem okazało się, że lubi śpiewać i siedząc głęboko w ziemi, ułożył nawet kilka piosenek. Śpiewali więc razem i tańczyli, a goblin przygrywał nowemu przyjacielowi na fujarce.

Nic więc dziwnego, że droga powrotna do wioski ciągnęła się tygodniami, a gdy wreszcie dotarli na miejsce, król już nie pamiętał, że zamarzył mu się gadający ziemniak. Nasz śmiałek zresztą również zdążył już o tym zapomnieć i sprawa zapewne nigdy by nie

wyszła na jaw, gdyby nie córka króla, która – jak to kobieta – pamięć miała fenomenalną.

Wpadła więc do chaty naszego śmiałka i wrzasnęła:

„A co to za porządki?! Miałeś oddać gadającego ziemniaka królowi, żeby wziąć mnie za żonę!”

Goblin rozdziawił usta ze zdziwienia, przypominając sobie słowa władcy, a potem bąknął:

„Ale ja w sumie to nie chcę się żenić”.

„O, to świetnie – powiedziała królowa i rozsiadła się w szatasie naszego bohatera. – Bo ja też nie. Przynajmniej w tym roku. Może za rok, ale teraz nie”.

„Może za rok – zgodził się goblin. – To co? Pośpiewamy sobie?”

Królowa się zgodziła i razem z gadającym ziemniakiem prześpiewali całą jesień, całą zimę i pół wiosny, po czym, gdy bagno się zazieleniło, postanowili, że jednak wezmą ślub.

I chyba wzięli”.

– To już koniec? – zdziwiła się Salia. – Nie będzie żadnego: i żyli długo i szczęśliwie?

– Nie – odparł Zwierzak po chwili namysłu. – Bo nie wiem, ile to jest długo. Szczęśliwi zaś byli na pewno, a więc po co o tym mówić?

– Na pewno? – Edvin podrapał się po głowie. – Nie kłócili się? Nie darli się na siebie?

– Nie. – Zwierzak był coraz bardziej zdziwiony. – Po co?

– Nie wiem! – Edvin zmarszczył brwi. – Zawsze się zastanawiałem, po co mama i tata ciągle się na siebie złością.

– Bo tata ciągle się spóźnia i kupuje nie to, co mama mu każe – powiedziała z westchnieniem Salia. – I zostawia po sobie bałagan. I pije piwo z wujkiem Grammem. I miał staw rybny wykopać i jakoś się do tego nie zabrał.

– Potem mama mówi kujwa! – westchnął ze zgrozą Nuut.

– O takie rzeczy trzeba się kłócić, Salia? – mruknął Edvin. – Serio?

– Nie, nie trzeba – odparła dziewczynka. – Wystarczy, że będziesz utrzymywał porządek, a żadnych kłótni nie będzie. Zresztą, dobrze

się zastanów, bo ty sam wdałeś się w tatę i zostawiasz taki bajzel, że...

– Pierdzimy? – zaproponował Zwierzak, wsuwając sobie łąpsko pod pachę.

– Tak! – zawołali z entuzjazmem Edvin i Nuut, ale pierwsze takty improwizowanej symfonii na trzy pachy przerwało skrzypnięcie drzwi. Na progu stanął potężny rycerz ze skwaszoną miną.

– Wujek Uργο! – zawołała trójka dzieci z radością, co sprawiło, że przez usta mężczyzny przemknął lekki uśmiech, ale ten szybko spoważniał i wbił wzrok w goblina.

– Zrywaj się, Zwierzak – burknął. – Kociółek ma do ciebie sprawę na dziedzińcu. Moja pora na bajkę!

Chóralny wrzask pełnych entuzjazmu dzieciaków usunął resztki niechęci z rycerskiego oblicza i Uργο rozsiadł się na swoim ulubionym fotelu, a Zwierzak mrugnął do niego i czmychnął na korytarz.

Karczma Pod Kaprawym Gryfem

Jakieś półtorej godziny
do świątecznej kolacji





Myślałem, że wypluję płuca.

Nie miałem pojęcia, że Żychłoń potrafi pędzić przed siebie z takim zaangażowaniem. W ciele tego łysego, żylastego dziada kryła się potężna rozhukanego zaprzęgu konnego i gdy patrzyłem, jak ręczo przesadza coraz to kolejne zaspy i nie zwalnia nawet, gdy wściekły wiatr ciska w niego tumanami śniegu, budziła się we mnie zazdrość przemieszana z podziwem i mocno podlana wdzięcznością.

Bo przecież gnał na ratunek mego domu.

Na więcej emocji nie zdołałem się już zdobyć. Sapałem, zipałem i rzeziłem, usiłując nadażyć za niezniszczalnym guślarzem, co w porównaniu z resztą moich przyjaciół i tak w miarę mi się udało. Pośród wycia wichru słyszałem jeszcze słabe pobrzękiwanie zbroi Urgo, ale Gramm na pewno został daleko z tyłu, co było kolejną złą wiadomością. Bo po tym, co wykrzyczał nam w biegu Żychłoń, chciałem mieć tego złośliwego, wrednego krasnoluda jak najbliżej siebie.

Jasna cholera, myślałem. Mam nadzieję, że się myli. Na Dołę, oddam naprawdę dużo, by Żychłoń się mylił!

Niestety, jakiś złośliwy głos w głębi duszy podpowiadał mi, że w takich chwilach guślarza najczęściej przeczucie nie myli, a Dola jest zbyt pochłonięta rozkoszowaniem się ludzką wdzięcznością, by słuchać próśb zdesperowanego karczmarza.

Gdzieś za naszymi plecami rozległo się przejmujące wycie wilków, od którego podnosiły mi się włoski na spoconym karku.

Wilki, myślałem z rozpaczą. Wilki są mądre! Nie podchodzą pod zabudowania, jeśli nie muszą! Nie atakują zbrojnych, jeśli nie poczują gwałtownej zachęty!

Tymczasem wedle podań i przekonań ludowych jedynym, co mogło zaburzyć zachowanie watahy wilków, było pojawienie się wilkołaka. Zwierzęta wychwytywały jego zapach i ruszały jego śladem, a w ich postawie pojawiała się irracjonalna agresja. Zachowywały się, jakby chciały wilkołakowi zaimponować. Jakby chciały, by ten je dostrzegł i pochwalił.

Serce mi waliło jak młotem, a każdy oddech zamieniał się w ogień.

Nie było żadnych zbójców! – powtarzałem sobie w myślach. Nikt nie obdarł Hieronima z ubrań! Sukinsyn zmienił się w człowieka tuż przed drzwiami! Czemu myśmy nie domknęli tej pieprzonej furtki... Niech mnie szlag trafi...

W mojej karczmie grzał się przy ogniu wilkołak.

Pocieszało mnie tylko to, że Sara i dzieciaki nie są same. Przecież Eliah właśnie opowiadał bajkę Edwinowi, Salii i Nuutowi, a na krokwiach w izbie gościnnej siedział Zwierzak. Tak czy owak, trzeba było się spieszyć.

Na szczęście spośród tumanów śnieżycy wyłonił się już mur otaczający Gryfa, za którym kołysały się bezlistne, targane wiatrem jabłonki. Poruszające się konary raz na jakiś czas przesłaniały światełko w pokoju dzieci. Furtka to się otwierała, to zamykała, zawodząc jękliwie.

Żychłóń wpadł do ogrodu jako pierwszy. Pchnięcie wiatru zatrzasnęło mi furtkę przed nosem i szarpiąc się z nią, usłyszałem, jak guślarz głośno z kimś rozmawia. Uporałem się w końcu z wejściem i ujrzałem Żychłonia stojącego naprzeciwko Eliaha.

Jakimś cudem moja pochodnia wciąż nie zgasła. Uniosłem ją wyżej, a płomień rozgorzał jaśniej. Twarz elfa była jak zwykle zimna i nieporuszona, co paradoksalnie przyniosło mi trochę ulgi. Eliah to lodowaty, nieczuły sukinsyn, ale chyba zareagowałby emocjonalnie, gdyby mojej rodzinie coś się stało.

Prawda?

A potem skojarzyłem inny fakt.

– A co ty tu właściwie robisz? – wysapałem, zdyszany jak rzadko. – Nie powinienesz dzieciom bajki opowiadać?

– Już skończyłem. – Elf spojrzał na mnie z bezbrzeżną pogardą. – Zwierzak mnie zastąpił. Sprawdził dachy i wlaź do nich przez okno.

– Sprawdził... co? – wyrzuciłem.

W płucach mi świstało. Nabrałem głęboko tchu i splunąłem na śnieg, po czym uniosłem półprzytomny wzrok na guślarza.

– Rozumiesz coś z tego?

– Wilkołak wyszedł z karczmy – podjął wątek guślarz. – Tuż po tym, jak twoja szacowna teściowa odprowadziła ojca Taspera na piętro. Zwierzak twierdzi, że nie przestawał się na naszego drogiego

gościa gapić, a gdy żeście wyszli, ewidentnie się ożywił. Gdy został sam, od razu czmychnął na dwór.

Ze śnieżycy wyłonił się Urgo, zdyszany i chrzęszczący.

– Na dwór? – wysapał. – Co na dwór?

– No właśnie, bo nieskładnie gadasz – podjąłem, rozglądając się nerwowo. – Czmychnął i co?

– Znikł i tyle! – rozzłościł się guślarz. – Zwierzak uznał, że zapewne będzie się próbował do kapłana oknem wkraść i obskoczył wszystkie, ale niczego nie znalazł. Dechy trzymają.

– Jakie dechy? – spytał Urgo, na co Żychłoń wywrócił oczami.

– Do każdego parapetu przymocowałem deskę z glifami uniemożliwiającymi wejście do środka – wycodził. – Tylko Zwierzak wie, jak przeleźć po nich do środka, i nie pytaj mnie, jak się tego dowiedział. Teraz, dla przykładu, wlaź do dzieciaków, a więc nie masz się, Kociółek, czym przejmować. Są pod dobrą opieką. Ty zaś, Urgo, daj już sobie spokój z tymi rycerskimi wyprawami i posiedź raz na jakiś czas w domu, bo kompletnie nie ogarniasz...

– Cicho! – syknąłem. – Czegoś nie kapuję.

Zerwałem czapkę z głowy i przetarłem spocone czoło.

– Skoro wilkołak nastaje na ojczulka Taspera, to czemu miałby chcieć wleźć do jego komnaty oknem? Nie mógłby po prostu wejść do niego po schodach?

Żychłoń, jeszcze przed chwilą gotów ofuknąć cały świat za głupotę, rozdziawił szeroko usta. Urgo cofnął się o krok, jakby chciał dyskretnie dać do zrozumienia, że myślenia strategicznego wyrzekł się już dawno, a Eliah patrzył na mnie z absolutnie nieporuszonym obliczem.

– Dobra – warknąłem. – Dowiemy się, jak go dorwiemy.

Rozejrzałem się raz jeszcze. Wiatr uderzył ponownie i wokół nas zawirowała biel, przesłaniając na moment nawet gospodę. Skądś dobiegło wycie wilków, którym odpowiedział z zajadłością Paproch.

– Żychłoń – zwróciłem się do guślarza. – Jak się poluje na wilkołaki?

– Ehm – bąknął guślarz. – No... Cóż, jest kilka technik, z których najważniejszą...

– Ślady – przerwał mu Eliah, po czym bez słowa odwrócił się i ruszył w stronę wejścia do Gryfa. Żychłoń odprowadził go

nieprzychylnym spojrzeniem.

– Patrzcie go, jaki mądry – burknął. – A ja bym zaczął od...

Szczekanie Paprocha znów przeobraziło się w histeryczne ujadanie.

– Przyczał się gdzieś w pobliżu budy Paprocha! – uświadomiłem sobie. – Chodźmy!

– Paproch! – stęknął guślarz z rozpaczą. – Mój pies jest w niebezpieczeństwie! Pospieszmy się!

Machnął tęgą lagą, bez której nigdzie się nie ruszał, i pognął tam, skąd dobiegało szczekanie psa, a my za nim. Urgo wysunął swój ulubiony miecz z pochwy, a ja wciąż ściskałem płonącą pochodnię. Nie miałem pojęcia, czym należy walczyć z wilkołakiem, ale w głębi ducha liczyłem na to, że ogień i stal wystarczą. Nadzieja mogła okazać się płonna – słyszałem w życiu wiele historii o zmiennokształtnych, z których każda kończyła się źle – ale coś trzeba było zrobić. Nie wyobrażałem sobie, bym mógł zatrzaskać drzwi i czekać, aż bydlę sobie pójdzie.

Niestety, nieproszony gość miał zdecydowaną przewagę terenu. Pojedyncza pochodnia, której płomieniem z wściekłością targał wiatr, zamieniała naszą okolicę w płataninę rozkołysanych cieni, a tumany śnieżycy skutecznie rozmywały wszelkie szczegóły. Zabudowania Gryfa, które przecież znałem co do ostatniej deski, niespodziewanie stały się niebezpiecznym labiryntem i wilkołak mógł się kryć dosłownie wszędzie.

Odruchowo zwolniłem i uniosłem wyżej pochodnię. Żychłoń rozglądał się uważnie na boki i ścisnął swoją lagę, a Urgo zataczał kręgi mieczem. Żaden z nas niczego nie widział, ale za to szczekanie psa stawało się coraz wyraźniejsze.

Przypadłem do rogu karczmy, po czym opuściłem pochodnię i ostrożnie wyjrzałem na zewnątrz. W ćmie wirujących płatków śniegu ujrzałem Paprocha, który wypadł na śnieg i z furją obszczekiwał cienie za leżącą kilkanaście kroków dalej dREWUTNIĄ, a potem uznał, że dość tego bohaterstwa, i wskoczył do budy.

Mam cię, przemknęło mi przez myśl.

Odwróciłem się ku towarzyszom.

– Kryje się za dREWUTNIĄ! – powiedziałem półgłosem.

W oczach Urgo błysnęły zawziętość i bezgraniczna odwaga. Zgarbił się, napiął mięśnie i nabrał tchu, a potem przymknął powieki, jakby oddawał duszę Doli.

– Ruszę na niego od frontu – oznajmił niskim, chrapliwym głosem. – Przepłoszę go w stronę muru, a wy spróbujcie go dobić!

Chciał zrobić krok, ale zatrzymał go Żychłóń, który zacisnął dłoń na jego rycerskim ramieniu.

– Stój, durniu! – warknął. – Wiesz cokolwiek o wilkołakach, co? To nieprawdopodobnie szybkie, agresywne i silne potwory, karmiące się energią samego Losu! Nawet we trzech nie damy mu rady! Trzeba z łuków szyc w takiego syna, sieć zarzucić, a potem dobić go toporami!

– Nie ma mowy – wycedziłem. – Nie będziemy nikogo zabijać na mojej ziemi.

– A.. – Żychłóń z trudem przełknął ślinę. – A jak chcesz to rozwiązać?

– Nie wiem! Ale nie będzie tu żadnej rzezi! Żadnej krwi na śniegu, nic! Nie chcę, by dzieciaki oglądały takie sceny, ani w święta, ani w żaden inny dzień!

– Kociółek, tam się kryje potwór, który mógłby rozszarpać każdego z nas w przerwie między jednym ziewnięciem a drugim – odezwał się Urgo. – Trzeba go jakoś wyeliminować!

– Nie wiem, może da się takiemu przemówić do rozumu! Albo odczarować go jakoś! – jęknąłem. – Wymyślcie coś, do cholery!

W blasku szarpanej wiatrem pochodni widziałem, jak patrzą to na mnie, to na siebie, a w ich spojrzeniach irytacja miesza się z bezradnością. Z budy znowu wypadł Paproch, poszczał chwilę, ale naraz zamarł i obrócił łeb ku górze. Cofnąłem się w porę, by ujrzeć ciemne bruzdy w pokrywającym dach śniegu, bez wątplenia pozostawione przez Zwierzaka, oraz okienko dziecięcej sypialni, w którym pojawiła się buzia Salii.

Chciałem krzyknąć, by się cofnęła i schowała, ale głos uwiązł mi w gardle. Spojrzałem w ciemność za drewnianą i napiłem mięśnie, gotów skoczyć na wszystko, co się stamtąd wyłoni, ale nic się nie wydarzyło. Salia zaś sprawnym ruchem wychlusnęła zawartość nocnika za okno i zatrzasnęła okienko.

Wtedy coś wypadło zza drewni, płosząc Paprocha.

– Ja pierrrr... – stęknął cień głosem Hieronima. – Jeszcze mnie tu obszczali, pieprzone...

Zrozumiałem, że kolejnej szansy już nie będzie.

– Za mną! – ryknąłem, rzucając się do ataku.

Podobieństwo do rzekomego kupca przejawiało się jedynie w głosie oraz gęstej brodzie, która nadal okalała zarośnięte oblicze. Hieronim przeobraził się już bowiem w swą potworną postać – był teraz wyższy i potężniejszy, a rozłożyste ramiona i szeroką klatkę piersiową porastało mu gęste, szare futro. Z bioder zwisały mu resztki mojej ulubionej koszuli do pracy, przesłaniając genitalia, których naprawdę nie chciałem oglądać. Wystarczyła mi bowiem gęba, niepodobna do ludzkiej, wykrzywiona w grymasie furii.

– Won! – wrzasnąłem. – Won z mojej ziemi!

Wilkołak potrząsnął łbem, rozrzucając resztki śniegu, który wcierał sobie w oczy, i zmarszczył ślepią, próbując ustalić, z której strony nadciąga atak. Dało mi to nieprawdopodobną okazję, by rąbnąć go pochodnią w potylicę. Włożyłem w ten cios wszystkie swe siły i wilkołak padł z głuchym jękiem.

– O żeby cię pogięło... – stęknął.

Jednakże błyskawicznie odzyskał panowanie nad sobą i odtoczył się w bok, unikając miecza Urgo, który wbił się w ziemię, wzniecając śnieżną kurzawę.

– Miało być bez krwi! – ryknąłem.

– Płazem walę! – odkrzyknął Urgo.

Wilkołak wykorzystał ułamek sekundy, by odskoczyć.

– A więc to tak pogrywacie? – warknął. Pochylił się ku ziemi i pokazał wszystkie kły. – Żywcem mnie chcecie dorwać, tak?

Uzmysłowilem sobie, że Dola właśnie stworzyła mi szansę, by wytłumaczyć naszemu przeciwnikowi, o co mi właściwie chodzi, ale zaprzepaścił ją Urgo, który z okrzykiem bojowym rzucił się naprzód. Hieronim – jeśli tak rzeczywiście brzmiało jego imię – wykonał jednak unik ze zwinnością drwiącą z praw fizyki i płynnie umknął spod jego miecza. Prześlizgnął się pod moją pochodnią, a potem zawirował w piruecie i wyrwał lagę Żychłoniowi. Odrzucił ją na bok, aż znieruchomiała przed budą z zainteresowaniem przyglądającego się starciu Paprocha.

– Zamarzyło się wilkołaka ku uciezce Doli pokonać, co? – Hieronim znów pokazał przerażającą kolekcję kłów. – No, proszę, tępe gnojki! Który pierwszy? Czy może jesteście nazbyt pochłonięci układaniem rymów do kolejnego psalmu?

– Nie! – krzyknąłem. – My tylko...

I znów wszystko popsuł Urgo.

Rycerz nie mógł znieść tego, że wilkołak wzmocnił wyzwanie imieniem Doli, i rzucił się do natarcia. Ciął raz za razem, a przeciwnik uskakiwał z niewyobrażalną gracją, ale trzeba było przyznać, że Urgo niemalże mu dorównywał. Jego miecz śmigał jak śnieżna błyskawica i raz czy drugi otarł się czubkiem o futro wilkołaka, a ten najwyraźniej zrozumiał powagę sytuacji, bo zarzucił wszelkie drwiny i skupił się na unikach. My z Żychłoniem zaś zamarliśmy, pochłonięci przerażającym spektaklem. Widać bowiem było, że walka weszła w decydujące stadium – niepoahamowane natarcie Urgo zmusiło Hieronima do skupienia się na obronie, ale nie utracił płynności ruchów i wystarczyłby jeden fałszywy krok rycerza, by wilkołak doskoczył mu do gardła.

Zrozumiałem, że mój przyjaciel jeszcze nigdy nie znalazł się tak blisko śmierci.

I pewnie by jej nie uciekł, gdyby nie kolejne zrządzenie losu.

Pękaty, barczysty, oblepiony śniegiem kształt wypadł ze śnieżycy dokładnie w tym miejscu, w którym wylądował uskakujący wilkołak. Z zębatego pyska wyrwało się stęknienie przerażenia – stracił równowagę, odruchowo przetoczył się po śniegu, zerwał się, ale Urgo był już przy nim, wznosząc miecz do uderzenia, które w innych okolicznościach okazałoby się śmiertelne.

Ale nie w walce z wilkołakiem.

Hieronim uskoczył w bok, zaskowytał, a potem odbił się, przeskoczył przez mur i znikł.

– Płazem było – wysapał Urgo, wyszarpując miecz ze zmarzniętej ziemi.

– Czy wy... – wysapał krępy, śnieżny kształt, podnosząc się z ziemi. – Czy wy... musicie... tak... zapierdalać? Nie wiecie... że mam... krótkie... nogi?

– Gramm? – stęknąłem z niedowierzaniem.

– A niby kto! – wycharczał krasnolud. – I kto... rzucił we mnie... jakimś włochatym... popaprańcem?

– Nikt – wyjaśniłem. Seria rozbieganych myśli niespodziewanie ułożyła się w mojej głowie w solidny plan. – Ten sukinsyn jest gotów tu wrócić i musimy mu to wybić z głowy. Zawołajcie Eliaha. Bierzcie broń i ruszamy.

– Dobra! – huknął Urgo.

Spojrzałem na niego ostro.


– Nie ty. Zastąp Zwierzaka przy dzieciach.

– Ale czemu? – W oczach rycerza pojawiła się krzywda. – Masz do mnie żal, że ostrym waliłem, co?

– Nie mam do ciebie żalu i nigdy mieć nie będę. Ktoś musi mieć oko na dzieciaki i Sarę, a wilkołak uciekł w stronę bagien. Nawet zimą bez Zwierzaka nie mamy szans. Ruchy, chłopaki!

Bajka Urgo





Rycerz wszedł do dziecięcego pokoju, westchnął ciężko i z chrzęstem pancerza opadł na krzesło przy kominku, aż to zaskrzypiało pod jego ciężarem. W roziskrzonych dziecięcych spojrzeniach pojawiła się troska.

– Wujku, jesteś chory? – spytała rzeczowo Salia.

– Nie – burknął Uργο.

– To czemu tak wzdychasz? – Dziewczynka, nie poddając się, wsunęła bosc stópki w pantofle i stanęła przed rycerzem, opierając piąstki o biodra. – Ludzie zawsze wzdychają, jak są chorzy.

– A przynajmniej tata – dodał Edvin, dołączając do siostry. – Tata strasznie wzdycha.

– Zjadłeś coś niedobrego? – indagowała dziewczynka. – A może boli cię gardło? Przed chwilą ktoś się wydzierał na podwórzu. To nie ty przypadkiem?

– Nie! – Uργο wyprostował się, spoglądając na dzieci z narastającą nieufnością. – Ja tylko... No...

– Ceba złościć lambarynę. – Nuut wygramolił się z łóżka i podreptał boso, by stanąć obok rodzeństwa.

– Co? – Uργο otworzył szeroko oczy. – Jaką lambarynę?

– Nie lambarynę, ale lafiryndę! – Edvin zgromił brata spojrzeniem.

– Nie... – Uργο się zakrztusił. – Dzieciom nie wolno używać takich słów!

– Nie? – zafrasował się chłopiec. – Ale wujek Żychłoń używa go bez przerwy! Ostatnio powiedział, że zafunduje tacie lafiryndę, żeby wstał z łóżka i przestał udawać!

– To wujek Gramm! – Salia wywróciła oczami. – To on ciągle gada o lafiryndach! Wujek Żychłoń chciał zrobić tacie lewatykę.

Uργο z trudem przełknął ślinę i uniósł rękę.

– Dzieci, nie jestem chory! – zawołał z przerażeniem, na co cała trójka zareagowała jękiem rozczarowania. – Dola mnie strzeże i nie choruję, a wzdycham, bo... Cóż, powiedzmy, że waszemu tacie rzeczywiście przydałaby się lewatyka. Opowiedzieć wam bajkę?

– Taaak! – wrzasnęła cała trójka z radością.

– A więc do łóżek! – Rycerz klasnął w dłonie, a potem rozsiadł się wygodniej i zaczął.

Pewnego razu był sobie pewien młody rycerz imieniem Zaduma, który wędrował po drogach i bezdrożach, by pomagać ludziom. Różnych przysług się od niego domagano, ale rycerz nie odmawiał nikomu. Bywało więc, że szukał po lesie zaginionego kota, pomagał naprawiać przewrócony płot, taszczył gliniane garnki na targowisko czy wyganiał borsuki z ogrodu. Robił to wszystko, bo miał dobre serce i nie umiał odmówić człowiekowi w potrzebie, ale w głębi duszy zawsze czuł, że jest stworzony do wyższych celów.

Kiedy więc usłyszał, że w dalekich górach wylęgło się Złe, uznał, że nadeszła jego chwila. Spakował skromny majątek, naostrzył miecz, polecił swą duszę Doli i wyruszył w kierunku stolicy, gdzie dobry król Doliny zbierał rycerzy na wojnę. Pokonał jednakże ledwie połowę drogi, kiedy zastąpił mu ją inny rycerz, starszy od niego, potężniejszy i bardziej doświadczony. Miał wspaniałą zbroję, długi miecz i dzielnego rumaka, a biły od niego pewność siebie i zdecydowanie.

„Kim jesteś? – spytał młodego wędrowca. – I dokąd jedziesz?”

„Zwą mnie Zaduma – odparł chłopak. – A jadę na wojnę. Na wojnę ze Złym!”

„Aha – rzekł starszy rycerz. – A ja jestem Puchacz i, jak sam widzisz, stary dziad. Rzeknij mi, Zadumo, skoro na wroga się wybierasz... Umiesz ty w ogóle walczyć?”

„Oczywiście, że tak – odparł Zaduma, nieco urażony. – Mam dobry miecz i znakomicie nim władam!”

Starszy rycerz pokiwał głową.

„Chętnie bym to ujrzał – stwierdził. – Mam już swoje lata i strzyka mnie w plecach, ale umiem się jeszcze mieczem zamachnąć. Pewnie nie tak sprawnie jak ty, ale cóż na to poradzę. Chcesz się zmierzyć? Przyda ci się trochę treningu przed wielką walką ze Złym”.

Zaduma uznał, że nic nie straci. Przyjął więc wyzwanie i dobył miecz, a wówczas Puchacz rzucił:

„A żeby cię zmotywować do walki, dodam, że jeśli zwyciężysz, oddam ci moją najlepszą zbroję. W sumie na co mi ona. Jeśli zaś przegrasz, zostaniesz u mnie na pół roku i będziesz mi służył jako giermek”.

Na myśl o nowej zbroi młodemu rycerzowi zaświeciły się oczy. Wzniósł okrzyk bojowy i rzucił się na starca, który akurat zaniósł się kaszlem. Myślał, że powali go jednym ciosem, ale stary rycerz nieoczekiwanie wykonał zwinny unik i celnym uderzeniem powalił Zadumę.

„Myślałeś, że zaskoczysz mnie w chwili słabości?! – zawołał. – A przyszło ci do głowy, że być może udaję? Na Dolę, Zadumo! Chcesz walczyć ze Złym, a nie umiesz przejrzeć złośliwego podstęp!”

Młody rycerz poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Podniósł się, znalazł swój miecz, ryknął głośno i skoczył do szarży, ale starzec zrobił zwinny unik i uderzył go płazem miecza w tył pleców.

„O tym, że bezrozumna szarża w niczym ci nie pomoże, też jak widać nie wiesz” – zadrwił.

Zaduma poskromił narastającą złość i znów rzucił się do natarcia. Puchacz stawiał mu czoła z wielką energią i przez moment fechtowali się sprawnie, aż przy którymś złożeniu stary rycerz upuścił broń. Młodzieniec cofnął się wspaniałomyślnie, by dać starcowi sposobność do podniesienia miecza, na co ten przyskoczył bliżej i z całej siły grzmotnął Zadumę między oczy.

„W walce nie ma miejsca na uprzejme gesty! – warknął. – Dla wroga to tylko okazja, by zadać ci cios”.

Zaduma próbował jeszcze na wiele sposobów pokonać starego rycerza, ale nie mógł ani go przechytryć, ani zmóc, i gdy dzień dobiegał końca, ledwie mógł się poruszać, taki był obity i obolały. Kiedy zaś przewrócił się po raz ostatni, Puchacz wymierzył mu kopniaka i rzekł:

„Wygląda mi na to, że nigdzie się, chłopcze, nie wybierasz. Podnieś się i chodź ze mną. Właśnie zostałeś moim giermkiem”.

Zgnębiony Zaduma chciał zaprotestować, a potem przyszło mu do głowy, by uciec, ale przecież rycerzowi nie przystało łamać danego słowa. Ze zwieszoną głową udał się do Puchaczowego zamku, rozpadającej się rudery, z której uciekli już ostatni słudzy. Staremu rycerzowi pozostał raptem jeden koń, a owa zbroja, którą postawił w pojedynku, była jednocześnie tą, którą nosił podczas walki. Jedynym mieszkańcem zamku, który powitał wracającego Puchacza, był ogromny wilczur o imieniu Ugryż.

„Rozgość się w stajni – oznajmił Puchacz. – Bo to miejsce stanie się twoim domem na sześć miesięcy”.

„Darujcie mi, panie! – Zaduma padł przed nim na kolana. – Nie mogę ci służyć! Nie powinienem! Król wzywa dzielnych ludzi pod swe sztandary! Trzeba ratować Dolinę!”

Pucharz odpowiedział śmiechem, który młody Zaduma uznał za okrutny, i kazał swemu nowemu giermkowi rozsiodłać konia, rozczesać go i napoić, a potem zgłosić się po nowe obowiązki.

Zaduma zrobił, co starzec mu kazał, ale w głębi serca podjął decyzję, że w tej jednej jedynej sytuacji złamie dane słowo i ucieknie pod osłoną nocy. Wybrał nawet odpowiednie miejsce, by przeleźć przez mur, ale ledwie wyszedł ze stajni, dostrzegł wpatrującego się w niego czujnie psa. Ugryź chyba wyczuł zamiary młodego rycerza, bo ani na moment nie spuszczał go z oczu, a ten musiał się w końcu pogodzić z tym, że uciec nigdy nie zdoła.

Zamiast tego postanowił zacisnąć zęby i służyć staremu rycerzowi.

Ten zaś nie miał dla niego litości.

„Zima nadciąga – oznajmił następnego dnia rano przy skąpym śniadaniu. – Załatasz więc dach. Skopiesz też ogródek, byśmy mieli brukiew i ziemniaki. Narąbiesz odpowiednio dużo drewna na zimę, przetkasz kominy, wypierzesz pościel i pogłębisz studnię. Oczywiście nie wszystko dziś!”

I znów się roześmiał. Zaduma zaś myślał, że zaraz się rozplacze.

„Nie giermkiem waszym będę, panie, lecz sługą! Niewolnikiem!”

Na to Puchacz nic nie powiedział. Po śniadaniu zrezygnowany Zaduma ujął więc łopatę i zaczął przekopywać ogródek. Nosił wodę, by podlać ziemię, a potem wspiął się na dach, by zacząć łątać dziury. Harował przez cały dzień, a gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, a on już myślał tylko o wypoczynku, naprzeciwko siebie ujrzał starego Puchacza z mieczem w dłoni.

„Idź po broń – rozkazał mu rycerz. – Dzielnie pracujesz, a więc nauczę cię tego i owego”.

„Ale... – wyjąkał zaskoczony Zaduma. – Mamy ćwiczyć fechtunek? Dziękuję, jestem zaszczyczony, ale... Przecież padam z nóg!”

„Ach, tak. – Puchacz pokiwał głową z udawanym zrozumieniem. – Wróg ma zaczekać, aż będziesz wypoczęty?”

„Nie, ale...”

„Idź po broń”.

Tego wieczoru ćwiczyli do upadłego. Stary rycerz nie miał litości i przerwał trening dopiero, gdy jego giermek nie mógł już się podnieść z ziemi.

„I zapamiętaj sobie jeszcze jedno – powiedział, stojąc nad nim i zasłaniając zachodzące słońce. – Walka nie ma w sobie niczego wzniosłego ani świętego. To jedynie brutalny sposób na osiągnięcie jakiegoś celu, a twój miecz jest w tym wszystkim tylko narzędziem. Wracaj do stajni i się wyśpij. Jutro jedziesz na targ po mąkę, by upiec chleb”.

I tak to codziennie wyglądało. Zaduma harował do upadłego, a wieczorem stawał przed nim Puchacz i zachęcał go do zacieklej walki. Młody rycerz myślał, że wyzionie ducha, ale korzyść była z tego taka, że czuł zbyt wielkie zmęczenie, by choć marzyć o walce ze Złem. Skupiał się na tym, co miał przed oczami – na pracy, na ćwiczeniach i na jedzeniu. Wnet, jakby tego wszystkiego było mało, Puchacz nakazał mu biegać po okolicy z wilczurem, który nie mógł się wprost nacieszyć jego towarzystwem. Skóra Zadumy pociemniała od słońca, jego dłonie stwardniały, a mięśnie przypominały splecione pręty żelaza. Co więcej, wieczorne treningi przestawały być udręką – znosił je coraz lepiej i coraz więcej się uczył, a Puchacz przestał z niego drwić.

Lato przerodziło się w jesień, słoneczną i suchą. Zaduma, skupiony na pracy i ćwiczeniach, zapominał o świecie zewnętrznym, a przypominał sobie o nim dopiero wtedy, gdy obok zamku przejeżdżał kolejny goniec z królewskimi wiciami. Prosił wówczas Puchacza, by zwolnił go z obowiązku i pozwolił wyruszyć na wojnę, ale uparty starzec tylko kręcił głową, a wieczorem urządził młodzieńcowi jeszcze bardziej wyczerpujący trening.

Na szczęście młody rycerz nie żywił do swego pana urazy, przez co ich relacje z dnia na dzień się poprawiały. Czasami żartowali, bywało, że się śmiali, raz na jakiś czas Puchacz zabierał młodzieńca na wędrówkę po okolicy, podczas której wspólnie polowali lub łowili

ryby. Gdy nadeszły jesienne chłody, Puchacz nakazywał Zadumie rozpalić w kominku, a potem snuł długie rycerskie gawędy.

Gdy nastąpiła zima, wilgotna i nieprzyjemna, Puchacz zaczął podupadać na zdrowiu. Wychudł, jego skóra pożółkła, w oczach zgasły resztki blasku. Nie ćwiczył już młodzieńca wieczorami, a zamiast tego opowiadał mu dziesiątki historii, pospiesznie, jedna po drugiej, jakby się bał, że śmierć zaskoczy go, zanim przekaże mu wszystkie swe opowieści. Zaduma miał teraz mniej obowiązków, ale brakowało mu ćwiczeń ze starym. Siedział więc przy nim, dokładał drewna do ognia, słuchał jego historii, a potem odprowadzał go do łóżka.

Któregoś dnia mijający ich goniec powiedział, że król odniósł wielkie zwycięstwo nad Złem. Młodzieniec westchnął ciężko, rozczarowany tym, że nie wziął udziału w tak wspaniałej bitwie, ale zdusił w sobie gorycz. Miał jednak dobre serce i nie chciał robić wyrzutów Puchaczowi, którego szczerze polubił, tym bardziej że stary z dnia na dzień czuł się gorzej.

Trzy dni po tym, jak spadł pierwszy śnieg, Zaduma biegał po okolicy z wilczurem, który nagle zaczął dziko ujadać. Ugryź, mimo swego straszego imienia, był potulnym, radosnym psiakiem i chłopak nigdy dotąd nie widział go w takim stanie. Nie zdołał uspokoić psa, więc zaczął się rozglądać w poszukiwaniu tego, co go tak zaniepokoiło.

To, co ujrzał, przejęło go przerażeniem.

Nad drzewami kołysał się bowiem łeb olbrzyma, a za nim wystawała wielka maczuga, którą ten nonszalancko zarzucił sobie na ramię. Zaduma przypomniał sobie wówczas, że po stronie Złego walczyli olbrzymi – zwano ich Wielosiłkami i potrafili zadać siłom dobra wprost ogromne straty, tym bardziej że nie istniała broń, którą można ich powalić. Ten wyglądał na marudera z rozbitej armii, a kierował się prosto na najbliższą wieś.

Zaduma zareagował bez wahania. Cofnął się do zamku po miecz i nie pytając starca o zgodę, wskoczył na konia, na którym ten jeździł. Wypadł przez bramę i pognął w stronę Wielosiłki, ale gdy spojrzął przez ramię, dostrzegł Puchacza, który stał na wieży, zakutany w futra, i się w niego wpatrywał.

Towarzyszyła mu każda z nauk starca. Wiedział, że nie ma przed sobą chwalebnej misji, a zwykłą robotę do wykonania, w której miecz stawał się narzędziem. Wiedział, że nie ma w niej miejsca na triumfalne okrzyki, dumne deklaracje czy przestrzeganie zasad kodeksu honorowego. Miał olbrzyma do zabicia i tyle.

Rycerski rumak, nawykły do wielu niebezpieczeństw, nawet się nie zawahał, gdy Zaduma pchnął go prosto na Wielosiłka. Przejeżdżając tuż obok prawej nogi, rycerz ciął olbrzyma po łydce, a potem zawrócił i chlasnął go po drugiej. Olbrzym miał twardą skórę, ale Zaduma mógł się poszczycić wielką siłą i jeszcze większą zwinnością. Zeskoczył z konia i odesłał go, by stać się jeszcze mniejszym celem, a potem skakał wokół nóg olbrzyma, ciął go, kłutł i rąbał, aż ten, osłabiony bólem i upływem krwi, wreszcie wypuścił maczugę i zwałił się na ziemię z głuchym rykiem. Wtedy Zaduma przypadł do niego i jednym ciosem przeciął mu gardło.

Pokonał strasznego wroga i ocalił wieś przed splądrowaniem, ale gdy wrócił do zamku, pełen dumy i entuzjazmu, stary Puchacz spojrzął na niego i rzekł:

„Wyszczotkuj konia i wprowadź go do stajni. Miałeś ugotować dziś fasolę na obiad”.

Zaduma poczuł w sercu mieszaninę rozczarowania i gniewu, ale ostatnie miesiące nauczyły go posłuszeństwa. Skłonił więc głowę, ujął konia za uzdę i zaprowadził go do stajni, gdzie zajął się szczotkowaniem.

Ani podczas obiadu, ani następnego dnia Puchacz nawet nie wspomniał o pokonaniu olbrzyma, a Zaduma również przestał o nim myśleć, jakby do walki nigdy nie doszło. Mieli zresztą obaj inne problemy na głowie, bo z dnia na dzień zdrowie starego rycerza się pogarszało, aż jakiś tydzień po Dniu Zstąpienia Doli obaj zrozumieli, że tej choroby nie zdoła już pokonać.

Którejś nocy, gdy wiatr wył głucho w kominie, a Zaduma siedział przy łóżku Puchacza, ten otworzył nagle oczy i spojrzął na młodzieńca.

„Masz do mnie żal?” – spytał cicho.

„Nie” – odparł Zaduma.

„To dobrze. – Puchacz się uśmiechnął. – Bo gdybyś żywił do mnie żal, oznaczałoby to, że niczego cię nie nauczyłem”.

„Nauczyłeś mnie wielu rzeczy – rzekł Zaduma. – Macham mieczem jak nigdy wcześniej”.

„O wiele ważniejsze jest to, byś się tym nie przechwalał. Robota rycerska to zwykła robota, tyle że wykonana mieczem. Nie ma się czym szczycić, młodzieńcze, bo cnotą rycerską jest nie próżność, a skromność”.

„To dlatego nie pochwaliłeś mnie za to, że ubiłem olbrzyma?”

„Otóż to. I dlatego też obić cię pierwszego dnia i zmusiłem, byś został moim giermkim. Byłeś tak przeświadczony o swej wielkości, że byłeś gotów stanąć w pierwszej linii i dać się zabić w pierwszej minucie bitwy. Skromność, Zadumo. Skromność zaprowadzi cię do Doli”.

„Do Doli?” – Młody rycerz był bardzo zaskoczony.

„Tak. Zwalniam cię z reszty twojej służby. Nauczyłeś się najważniejszego, Zadumo, a więc weź mą zbroję, wsiądź na mego konia i jedź, by czynić dobro. Tylko weź ze sobą mego psa. To straszny niezdara i nigdy nie da sobie sam rady”.

„Ale ja... – wykrztusił rycerz. – Ale ja muszę się tobą zajmować!”

„Już niedługo” – szepnął Puchacz.

I tak się stało, że w środku nocy wydał swój ostatni dech, a rycerz Zaduma pochował go na dziedzińcu rozpadającego się zamczyska. Potem otarł łzy i pomodlił się do Doli, po czym osiodłał konia, przywdział starą, zardzewiałą zbroję Puchacza i ruszył w drogę, by od tej pory zawsze korzystać z jego nauk”.

Gdy Urgo skończył, w sypialni dziecięcej zapanowała taka cisza, że słyhać było wrzaski z podwórza. Coś stuknęło o parapet, ale oczarowane dzieciaki nadal nie odrywały oczu od gawędziarza, aż ten znów poczuł zakłopotanie.

– Ten tego... – mruknął i potarł zarośnięte policzki, jakby wiedział, że już rozlewa się po nich rumieniec. – No... To już koniec.

– Była tlochę stlasna – oznajmił Nuut z powagą i na wszelki wypadek zakopał się w pierzynie, skąd wysunął tylko głowę.

– I smutna – ocenił Edvin. – Szkoda, że ten rycerz nie zdążył na bitwę. Na pewno pokazałby tym potworom, gdzie raki zimują!

– Iii tam – mruknęła Salia. – Bitwa i tak została wygrana. Co za różnica, czy Zaduma by tam dotarł, czy nie? Ale gdyby pojechał, ten olbrzym zniszczyłby wioskę!

– Ten stary może dałby sobie z nim radę! – upierał się Edvin.

– Był chory! – Salia wzięła się pod boki.

– Choly? – zainteresował się Nuut. – Wujek Ulgo ciągle choly? Ceba mu wsadzić kolumblynę!

Zanim Urgo zdołał ponownie wyjaśnić któremukolwiek z dzieciaków, że absolutnie nic mu nie dolega, za oknem rozległo się głośnie sapnięcie. Ktoś dotknął parapetu, na co dzieciaki jednocześnie odwróciły się ku oszroniałym szybom, w porę, by ujrzeć za nimi zarumienioną twarz mamy.

Urgo poderwał się z krzesła.

– Sara! – wybełkotał i rzucił się ku oknu. – Dzieciaki, odsuńcie się! Muszę...

Kobieta wyciągnęła drugą rękę, by lepiej pochwycić parapet, po czym nagle zniknęła, a Urgo i dzieciaki usłyszeli tylko przeraźliwy, cichnący wrzask.

– Do łóżek! – huknął Urgo i otworzył szeroko okno, wpuszczając do środka kłęby śniegu. – Sara? Wszystko w porządku?

W odpowiedzi rozległa się seria pospiesznie wykrzyczanych słów, których większość litościwie przytłumił wiatr.

– Mama powiedziała... – zaczął zafascynowany Nuut.

– Wszyscy słyszeliśmy – przerwała mu Salia.

– A czemu chce wbić wujkowi Żychłoniowi widelec w du... – Edvin zakrztusił się, gdy Salia trzepnęła go poduszką.

– Że co? – krzyknął Urgo. – Aha, parapet! Dobra!

– Wujku, czemu mama chce zrobić krzywdę wujkowi Żychłoniowi? – dopytywał się Edvin. – Bo się nie myje?

– Pomyśleć – stęknął poczerwieniały na twarzy Urgo, siłujący się z parapetem – że będziecie chcieli wiedzieć, czy mamie nic się nie stało...

– Mama jest nie do zdarcia – oświadczyła z przekonaniem Salia. – Też taka będę.

– Och, nie wątpię – mruknął rycerz.

Rozległ się głośny trzask oderwanego parapetu.

– Sara, możesz włązić! – Urgo huknął przez wiatr.

– A właściwie to czemu mama włązi przez okno? – zainteresował się nagle Edwin.

– Nie wiem – rzekł Uργο. – Ale na waszym miejscu raczej bym o to nie pytał.

Okolice karczmy Pod Kaprawym Gryfem

Już niecałe półtorej godziny
do świątecznej kolacji





Wydawało mi się, że przybycie Zwierzaka da nam jakąś przewagę w podchodzeniu wilkołaka, ale przeklęty goblin był dziwnie rozkojarzony i nie słuchał tego, co się do niego mówiło. Co gorsza, Eliah oczywiście zniknął bez śladu, co jeszcze bardziej zmniejszyło nasze szanse – był w końcu najlepszym łowcą wśród nas. Pożałowałem też tego, że odesłałem do karczmy Urgo, którego kunszt rycerski i niezłomność zawsze dodawały mi otuchy.

Co prawda udało nam się złapać za broń i zapalić świeże pochodnie, ale wkraczaliśmy w bezlitosne królestwo zimy z niepewnością graniczącą z lękiem.

Gramm, na ogół buńczuczny i zuchwały, zasłaniał się wysoką tarczą, co świadczyło o tym, że odruchowo przeszedł do postawy obronnej. Żychłóń naciągnął skórzany pancerz, na głowę nałożył hełm, a lagę zastąpił mocną rohatyną. Ja pochwyliłem najmocniejszą tarczę w naszej kolekcji, a w rękę ścisnąłem długi miecz.

W blasku pochodni widzieliśmy trop wilkołaka, ciągnący się po śniegu i znikający między drzewami. Złośliwy wiatr robił wszystko, by zasypać jego ślady, ale i tak zdążyliśmy im się dobrze przyjrzeć. Przypominały odcisk ludzkich stóp, ale ich palce były o wiele dłuższe, a do tego zwieńczone zakrzywionymi pazurami.

Cholera, ta bestia to istna maszyna do zabijania, przeszło mi przez głowę.

Przygryzłem wargę, by zamaskować wahanie, po czym odwróciłem się do chłopaków.

– Nie potrzeba nam tu Eliaha! – zawołałem, by przekrzyczeć wiatr. – Dopadniemy takiego syna po śladach! Za mną!

Z energią, której wcale nie czułem, ruszyłem przed siebie. Tropy wilkołaka wnikły w podmokły las na wschód od Gryfa, jedyne miejsce w naszej okolicy, którego szczerze nie lubiłem. Rosły tam omszałe drzewa i gęste, kolczaste zarośla, a między nimi kryły się czarne i zielonkawe jeziorka o mulistym dnie. W słoneczne dni panowała tam duszna, nieprzyjemna atmosfera, a zimą, nawet podczas największych mrozów, lód na jeziorkach pozostawał

złowieszczo cienki i bez Zwierzaka nie miałem najmniejszej ochoty się tam zapuszczać.

– Zwierzak! – szepnąłem do goblina, który kiwał rytmicznie głową, jakby nucił w myślach jakąś piosenkę. – Skup się, do cholery!

– Jestem skupiony! – odparł urażony Zwierzak.

– Ale nie na tym, co trzeba! Musimy dopaść tego gnojka, który zakradł się do naszej karczmy, kapujesz! A ty zadbaj o to, byśmy nie wpadli do któregoś z tych bajor!

– Dobra, dobra! – wymamrotał goblin i wysforował się naprzód.

Wiedziałem, że Zwierzak spędza na bagnach dosłownie każdą wolną chwilę, ale wciąż nie mogłem się nadziwić, że potrafił odnaleźć wśród nich drogę. Bywało nawet, że świadomie porzucał pozostawiony przez wilkołaka ślad, by pokonać część drogi skrótem, a potem znów go znajdował. Uciekający wilkołak rzecz jasna takiej wiedzy nie miał i parokrotnie dojrzałem czarne jamy w miejscach, gdzie załamał się pod nim lód.

Byliśmy więc na tropie, ale na tym nasza przewaga się kończyła. Trzymane przez nas pochodnie czyniły nas doskonale widocznymi, a wilkołak mógł już się nam przyglądać i czekać na odpowiedni moment do ataku. Przy jego zwinności i szybkości był zdolny do tego, by błyskawicznie przejąć inicjatywę, a ścieżki, którymi prowadził nas Zwierzak, były wąskie i w każdej chwili mogły zamienić się w pułapkę.

Myślałem o tym dosłownie przez cały czas. Nic więc dziwnego, że wydarzyło się coś, czego nie spodziewałem się wcale.

Właściwie to wydarzyły się dwie rzeczy naraz.

Najpierw ujrzelśmy w blasku pochodni, jak tropy wilkołaka zmierzają ku samotnemu, bezlistnemu drzewu, rosnącemu na środku niewielkiej polanki, i nikną tuż przed nim. Już chciałem wskazać je pozostałym i krzyknąć, że wilkołak z całą pewnością schronił się wśród gałęzi drzewa, gdy usłyszałem szelest, a potem chrapliwe warknięcie.

Ogromne szare wilki wypadły na nas ze wszystkich stron.

Niejedno zobaczyłem tej nocy, ale w to akurat najtrudniej mi było uwierzyć. Wilki były rozsądnymi drapieżnikami, które starannie planowały swój atak i niechętnie wypuszczały zdobycz, ale o ich wielkiej inteligencji świadczyło choćby to, że trzymały się od ludzi

z daleka i nawet nie próbowały ich atakować. Tymczasem wbrew wszystkiemu, co o nich wiedziałem, rzuciły się do napaści na czwórkę uzbrojonych wojowników, i to jeszcze niosących żywy ogień, który napawał je przerażeniem.

To ten wilkołak! – pomyślałem. To on je tu zwabił i namieszał im w głowach!

Na kolejne wnioski zabrakło mi już czasu.

Odruchowo poderwałem tarczę i w ostatniej chwili zasłoniłem się nią przed skaczącym na mnie wilkiem. Usłyszałem przerażający trzask, z jakim kłapnął szczękami, i zgrzyt pazurów po drewnie tarczy. Drapieżnik był ciężki, szybki i silniejszy ode mnie, i w innych okolicznościach tarcza byłaby jedynie iluzoryczną osłoną albo wręcz zawadą, zważywszy na to, jak liczna była wataha, ale Żychłoń dobrze nas do tej walki przygotował. Wszystko, w co zdołał wbić swój rylec, zostało naznaczone rzędami glifów, które nadawały przedmiotom niecodzienną moc.

Glify, wyryte na drewnie naszych tarcz, oszałamiały i dezorientowały.

Oczywiście była to broń ściśle tajna. Doliną wciąż rządziła bowiem kasta kapłańska, która z polowań na wszelkie – prawdziwe i domniemane – ślady magii uczyniła sens swego istnienia, przez co nie mogliśmy z takimi tarczami paradować wśród ludzi. Teraz jednak, w szalejącej na bagnach śnieżycy, kapłani Doli stali się odległym zmartwieniem.

Wilk, który uderzył w moją tarczę, zaskomlał, przetoczył się i poderwał dzikim wierzgnięciem, strzepując z siebie śnieg. Błyskawicznie obrócił się ku mnie, nie przestając warczeć, ale potrząsnął łbem, jakby usiłował pozbyć się czegoś, co krępowało jego swobodę działania. Drugi, który na mnie skoczył, uderzył z boku, przez co nie widział tarczy. Kłapnął szczękami w powietrzu, o mały włos nie chwytając mnie łkami za łokieć. Instynktownie machnąłem pochodnią. Huczący płomień przemknął przed wilczym pyskiem, co zmusiło go do odskoku, a wtedy zwróciłem się ku niemu i pokazałem mu tarczę.

– Won! – wrzasnąłem. – To nie wasze miejsce! Wynocha!

– Poszły stąd! – huknął potężnym głosem Żychłoń, wymachując własną pochodnią.

Wilki nie spuszczały z nas ślepi i szczyrzyły kły. Kotłowały się wokół i darty śnieg pazurami, co rusz próbując atakować, ale pochodnie i glify na tarczach odbierały im ochotę do działania. Ja zaś uwierzyłem, że wyjdziemy z tego cało, i nawet pozwoliłem sobie spojrzeć w górę.

Gdzieś wśród bezlistnych konarów drzewa, pod którym toczyła się nasza walka, czuwał przecież wilkołak. To on ściągnął tę watahę, to on próbował nas osaczyć, to on rozwijał tu własną intrygę.

To jego powinniśmy spróbować dopaść.

Dostrzegłem go. Stał na szerokim konarze, ledwie widoczny wśród śnieżnej kurzawy, mroczny i potężny. Nasze spojrzenia się spotkały, a on, choć nie mogłem mieć co do tego pewności, uśmiechnął się do mnie. A potem, jakby nagle zrozumiał, że jego strategia się nie sprawdza, bo przywołana przezeń wataha wcale nie kwapi się do ataku na ludzi, odbił się i skoczył.

Przemknął nad nami niczym monstrualny nocny ptak i z głuchym łupnięciem wylądował gdzieś za kręgiem otaczających nas wilków, a potem pognał w stronę Gryfa.

Przez krótką jak uderzenie serca chwilę byłem przekonany, że to najgorsze, co się mogło wydarzyć. Potem usłyszałem głos Sary:

– Edmund? Edmund, gdzie jesteś?

Wołała mnie tak jak zawsze, bez niepokoju, ale z odrobiną zniecierpliwienia, jakby na stole stała stygnąca zupa, a dzieci umyły już ręce do posiłku. Nie zdawała sobie sprawy z jakiegokolwiek zagrożenia. Nie wiedziała, że w jej stronę pędzi rozjuszony wilkołak, któremu sam Urgo nie dał rady.

Zrobiło mi się przeraźliwie zimno.

– Sara! – wrzasnąłem.

Wszystko, co później zrobiłem, było w zasadzie idiotyczne bądź przynajmniej do tego miana pretendowało. Z dzikim rykiem skoczyłem na wilki i rozpędziłem je desperackimi machnięciami pochodni, po czym bez namysłu pognałem przez bagna, które w każdej sekundzie mogły stać się moją mogiłą, ścigając potwora, który mógł mnie rozplatać i nawet tego nie zauważyć.

A jednak stare porzekadło, wedle którego Dola czuwa nad durniami, okazało się prawdą. Kilka wilków rzuciło się do pościgu za

mną, ale z niejasnych powodów szybko z niego zrezygnowało. Wzniesiona wysoko pochodnia, choć tłumiona pędem powietrza i naporem wiatru, wskazała mi drogę przez bagna, a potem pokazała mi samego wilkołaka.

Oczy mi łzawiły, ale mimo to dostrzegłem coś jeszcze. Daleko za Hieronimem, na tle widocznej już karczmy, migotał malutki promyk, w którym rozpoznałem pochodnię trzymaną przez moją żonę. Wilkołak zaś, pochylony i potężny, pędził na nią niczym rozjuszony byk.

Przyspieszyłem. Byłem pewien, że nigdy dotąd nie biegłem tak szybko, ale nawet konno nie dogoniłbym tego potwora.

– Edmund! – wołała Sara. – Edmund, może byś już wrócił, co? Zimno jak cholera, a ja mam ci coś do powiedzenia!

– Sara! – wrzeszczałem, choć głos wiązał mi w gardle. – Sara, uciekaj! Uciekaj!

– O, tu jesteś! – ucieszyła się moja żona i uniosła pochodnię wyżej. – Słuchaj, bo...

Wciąż nie widziała rozpędzonego wilkołaka, którego dzieliły od niej jeszcze cztery susy, jeszcze trzy, dwa...

Nie zauważyłem gałęzi pod zaspą i się wywróciłem. Poderwałem się, wytarłem łokciem śnieg z oczu i podniosłem płonąca gałąź w porę, by ujrzeć, jak...

Jak wilkołak skręca.

Wyminął moją żonę i pomknął w stronę Gryfa.

– Edmund? – Sara biegła ku mnie, oglądając się za siebie. – To ty? Słuchaj, coś tu przeleciało obok mnie... Dzik chyba, bo...

– Sara – wyrzęziłem. – Nic ci nie jest?

Złapałem ją w ramiona i uściskałem ze wszystkich sił, a potem ucałowałem oba cudowne, chłodne policzki.

– Nic mi nie jest – burknęła Sara i obrzuciła mnie wspaniale trzeźwiącym spojrzeniem, przeznaczonym dla półgłówek i pijaków. – Możesz mi wyjaśnić, o co tu chodzi? Wyglądasz, jakbyś zobaczył potwora!

– Eee... Bo... – Szok przemieszany z euforią nie pozwalał mi się wysłowić. – Potem ci wszystko opowiem...

– Świetnie. – Sara wyswobodziła się z moich objęć. – Ja, pozwolisz, sekretów mieć nie będę i przyszedłam ci powiedzieć, że

zdaniem mojej mamy ów ojciec Tasper to wcale nie jest kapłan. Myli modlitwy, nie kojarzy tradycji i w ogóle jest jakiś dziwny.

– Eee... No dobra. Dobra.

– Dobra? – Sara przymrużyła oczy. – W Dzień Zstąpienia Doli gościmy pod dachem potencjalnego oszusta, a ciebie to nie rusza?

– Rusza. O, rusza. Strasznie rusza! – wybełkotałem. – Poradzimy sobie z fałszywym kapłanem, jasne, czemu nie, tylko... O, jesteście!

Z ciemności wychynęli Zwierzak, Żychłoń i Gramm. Zasapany Żychłoń oparł się na swej włóczni, goblin nie przestawał zerkać nerwowo za siebie, a Gramm mruczał ze złością i zaciskał dłoń na skaleczonym nadgarstku. Obróciłem się ku Sarze i rozłożyłem ramiona, co czyniłem zawsze, gdy szykowałem się do długich wyjaśnień, ale moja żona była mądrą kobietą i jej mina dała mi do zrozumienia, że już zorientowała się w sytuacji.

– Dobra – powiedziała nieco zachrypniętym głosem i otuliła się mocniej kożuszką. – Tu dzieje się coś ważniejszego niż wizyta fałszywego kapłana?

– Eee... No... Jakby ci to powiedzieć...

– Ścigamy wilkołaka – wysapał Żychłoń, robiąc krok ku Sarze. – Który przeleciał tuż obok ciebie.

Moja żona odruchowo otuliła się kożuszką jeszcze mocniej, ale jej głos był zaskakująco mocny i spokojny.

– Aha. A ja myślałam, że to... Że to dzik.

– Wybacz, że nic ci nie powiedziałem! – wybuchnąłem, czując, że puszczają mi nerwy. – To cholerny potwór! Przeraziłem się, gdy ujrzałem, że wyszłaś z gospody. On mógł...

– Jeśli to prawdziwy wilkołak – Sara przewiercała mnie wzrokiem – nie ja tu jestem w tarapatach, ale ty. Wedle starych wierzeń wilkołak jedynie mężczyźni uważa za godnych siebie przeciwników, a od kobiet trzyma się z daleka, by nie okryć się wstydem.

Żychłoń pacnął się otwartą dłonią w czoło w nagłym olśnieniu i zaklął wściekle, zły na siebie. Powiał zimny wiatr, płomienie pochodni zadrżały, a w mojej głowie pojawił się desperacki pomysł.

– Wszystko wskazuje na to, że to jest prawdziwy wilkołak – oznajmiłem, biorąc Sarę za rękę i ciągnąc ją ku furtce w murze obronnym Gryfa. – I dlatego trzeba się drania pozbyć. Mam


nadzieję, że Urgo dotarł już do końca swej bajki, bo będzie nam zaraz potrzebny. Ty zaś zostań z dziećmi – zakończyłem z przekonaniem, którego nie czułem.

Sara miała bowiem gwałtowną osobowość i nie znosiła, gdy ktoś jej mówił, co ma robić. Spodziewałem się więc, że ostro mi się sprzeciwi i wymyśli inne rozwiązanie, co doprowadzi do kompletnie niepotrzebnej kłótni, ale wszystko skończyło się inaczej. Moja żona uniosła głowę, zerknęła na mnie przelotnie i powiedziała cicho:

– Dobrze.

Bajka Sary





Sara starannie zamknęła okno, a potem równie starannie otrzepała dłonie i poprawiła suknię, po czym odwróciła się do dzieci i obdarzyła je promiennym uśmiechem, który przepędzał złe sny, łagodził ból skaleczeń i likwidował ochotę na złośliwego focha. Przeszła przez pokój i usiadła na krześle z godnością, która błyskawicznie wymazała wszelkie wspomnienia o jej dramatycznych przeżyciach na drabinie.

– Wujkowie opowiadają wam bajki? – spytała, układając dłonie na kolanie.

– Tak! – zawołał z zachwytem Edvin. – O smokach, bagnach i potworach! To najlepszy Dzień Zstąpienia Doli, jaki pamiętam!

– Najlepsi! – Salia i Nuut zaczęli skakać po łóżkach. – Najlepciejszy!

– Zgodzę się, że jest wyjątkowy. – Spojrzenie Sary umknęło na moment w stronę okna, a potem wychwyciło coś w pościeli Salii. – Kto przemycił do sypialni ciastka? – spytała nieco twardszym głosem.

Cała trójka dzieci znieruchomiła.

– Zwierzak! – ogłosili chórem.

– A tata ma dostać lafilyndę – powiedział z powagą Nuut. – Od wujka Zychłonia.

– Coś podobnego. – Sara przechyliła lekko głowę. – Mówcie, dzieci, mówcie. Opowiedzcie mi coś więcej o owej lafiryndzie.

– Nie tata, tylko wujek Urgo! – poprawił brata Edvin. – I nie lafiryndę, tylko lampuciarę.

– Aha. – Sara pokiwała głową. – To sporo zmienia.

– Tym baranom chodzi o lewatywę – wycedziła Salia, unosząc oczy ku niebu.

– Cóż. – Sara odetchnęła. – O lewatywę? Trochę szkoda, choć może rzeczywiście by się przydało. Byłoby naprawdę ciekawie. Dobrze, zastanawiam się, czy i ja znam bajkę, którą uda mi się was zainteresować. Czekaście, coś mi się przypomniało. Może być o smokach i rycerzach? – spytała.

– Taaak! – krzyknęli chłopcy, ale Salia westchnęła ciężko.

- Znowu? – zwróciła się do mamy. – A nie można by o księżniczce?
- Księżniczka też tam będzie, kochanie – zapewniła ją Sara.
- O! – ucieszyła się dziewczynka i zamieniła się w słuch.

Dawno, dawno temu żyła sobie księżniczka, którą zamknięto w wieży. Jej komnata była wysoko i miała tylko jedno okno z mocnymi metalowymi kratami, przez które widziała jedynie smoka, mieszkającego w jamie pod wieżą. Smok był paskudny, ciągle porykiwał i strasznie śmierdział, toteż księżniczka szczerze go nie cierpiała. Wyzywała go, pluła na niego i rzucała w niego różnymi przedmiotami, ale smok nie przejmował się tym specjalnie.

„Czego ty tu właściwie chcesz?” – spytała któregoś dnia.

Smok podniósł głowę z zaskoczeniem.

„Jak to czego? Na żarcie czekam”.

„Na jakie znowu żarcie?”

„Aż przybędzie tu jakiś rycerz, żeby cię uwolnić. Wtedy go zjem”.

Aha, pomyślała sobie księżniczka. Świetnie.

W duchu ucieszyła się jednak, że poznała zamiary smoka, bo mogła spróbować je pokrzyżować. Jakiś idiota wstawił do jej komnaty kołowrotek, zapewne przekonany, że każda księżniczka musi coś tkać, bo inaczej przestałaby być sobą. Nasza księżniczka do tej pory nawet na grata nie spojrzała, ale niespodziewanie przyszedł jej do głowy ciekawy pomysł. Uruchomiła kołowrotek i pracowała na nim dzień i noc, zawsze odwrócona plecami do okna, by smok nie ujrzał tego, co wymyśliła. Ten na szczęście nie był niczym zainteresowany i całymi dniami taplał się w błocie jak wujek Zwierzak.

Pewnego dnia, niedługo po tym, jak księżniczka ukończyła swą pracę, pojawił się rycerz. Miał wspaniałą, złotą zbroję, która lśniła w blasku słońca, długą włócznię i potężnego rumaka bojowego. Na widok smoka rumak zarżał, a rycerz krzyknął:

„Jam jest rycerz Rinocerus, najdzielniejszy z dzielnych! Wyjdźże, poczwaro, z błota, to cię przebodę!”

„Żarcie! – ożywił się smok. – Trochę pyskate, ale wciąż żarcie!”

I czym prędzej wylazł z błota.

Rycerz opuścił kopię i rzucił się do ataku, a smok zaryczał jak wujek Gramm i skoczył na młodzieńca. Był naprawdę wielkim potworem i nawet cała armia miałaby z nim sporo roboty, a co dopiero jeden Rinocerus, ale okazało się, że samotnemu rycerzowi dopisuje tego dnia szczęście. Gdy smok szykował się do natarcia, księżniczka ukradkiem rozwinęła długą, zakończoną pętlą linę, taką, jakie robi wujek Eliah. Wychyliła się między kratami, zakręciła nią w powietrzu i rzuciła ze wszystkich sił, a pętla zacisnęła się na smoczey szyi. Oczywiście każdy smok bez trudu potrafiłby taką linę zerwać, ale chwilę by mu to zabrało, a w tym czasie Rinocerus dźgnął go włócznią w kałdun.

„Auu! – wrzasnął smok. – Dobra, już dobra, nie kłuj mnie tym patykiem! Już nie jestem głodny”.

Ze złością zerwał pętlę z szyi i odszedł, człapiąc w błocie.

„Zwycięstwo! – krzyknął Rinocerus. – Pokonałem przebrzydłe bydło i uwolniłem księżniczkę z niewoli!”

„Jeszcze nie” – odezwała się księżniczka.

„Jak to nie? – Rycerz spojrzał na nią z niedowierzaniem. – Zniknął przecież twój ciemiężyciel! Nikt już cię nie zatrzyma, gdy będziesz chciała odejść!”

„No właśnie – stwierdziła księżniczka. – I to trzeba by przegadać. Odejść będę mogła dopiero, gdy znikną te kraty”.

„Ale... – zafrasował się rycerz. – Ale jak ja mam je przeciąć? Przecież miecz się wyszczerbi!”

Księżniczka westchnęła z politowaniem.

„No tak – powiedziała. – Słusznie. Miecz się wyszczerbi. Musisz pojechać do miasteczka po pilnik”.

„Pilnik – powtórzył rycerz z niedowierzaniem. – No tak. Skoro już zabiłem smoka, to teraz muszę ocalić księżniczkę. Jadę po pilnik”.

Wzruszył więc ramionami, wsiadł na konia i pojechał do pobliskiego miasteczka, gdzie kupił pilnik, a potem wrócił pod wieżę. Gębę miał już wykrzywioną jak wujek Żychłóń, a potem, gdy spojrzał na okno, skrzywił się jeszcze bardziej.

„Przecież to okno jest wysoko! – burknął. – Jak ja mam go dosięgnąć?”

„Mógłbyś stanąć na siodle – zaproponowała księżniczka. – Wówczas dosięgnąłbyś krat bez trudu”.

Rinocerus prychnął pod nosem, ale podprowadził rumaka pod ścianę wieży, wlażł na niego, jakimś cudem stanął na siodle i zaczął piłowanie. Zgrzyt metalu o metal nie przypadł jednak koniowi do gustu, a już zupełnie nie spodobało mu się to, że ktoś po nim skacze. Wyrwał więc naprzód i popędził przed siebie prosto na bagna, gdzie zniknął smok. Rżał przy tym z radości, bo właśnie zrozumiał, że przez przypadek odzyskał wolność.

Rycerzowi zaś, który porządnie przywalił w ziemię, wcale nie było do śmiechu.

„To był durny pomysł!” – warknął.

„Szkoda więc, że go nie przemyślałeś. – Księżniczka przyglądała mu się uważnie. – A własnego pomysłu najwidoczniej nie masz. I jak mnie teraz ocalisz?”

„Nie wiem! – Rinocerus był wściekły. – Skąd mam niby wiedzieć?”

„Dobra – westchnęła księżniczka. – To ci podpowiem. Musisz zbudować drabinę”.

„Zbudować? – Rycerz otworzył szeroko oczy. – A niby jak?”

„Wróć do miasteczka – recytowała powoli dziewczyna. – Kup siekierkę, piłę, młotek i trochę gwoździ. Wróć tu, zetnij parę drzewek, ogołóć je z gałęzi, przybij w poprzek kilka szczebli i mamy drabinkę”.

Rycerz wymamrotał pod nosem coś, co zabrzmiało jak: „Przecież ja to wiem”, i poczłapał do miasteczka. Nie miał już wierzchowca, przez co wyprawa do miasta trwała tym razem o wiele dłużej, a gdy w końcu wrócił, miało się już na popołudnie. Księżniczka rozsiadła się przy parapecie i zaczęła komentować poczynania rycerza, podsuwając raz na jakiś czas dobrą radę, bo widać było, że Rinocerus nigdy w życiu nie trzymał w ręku ani młotka, ani piły. Ten robił, co do niego należało, ale dało się poznać, że coraz mniej mu się to podoba.

Gdy wreszcie wlażł na skleconą byle jak drabinę z pilnikiem w ręku, był spocony i zły.

„Nie mogłabyś sobie sama tych krat przepiłować?” – warknął.

„Mogłabym – oświadczyła księżniczka. – Ale wyszedłbyś na durnia. Skoro już wykrzyczałeś na cały świat, że mnie ocaliłeś, to dobrze by było, byś słowa dotrzymał”.

„Tylko daruj sobie te złote rady” – wycedził Rinocerus przez zęby.

„Nie ma sprawy. – Księżniczka wzruszyła ramionami. – Jeśli chcesz, żeby trwało to dłużej, proszę bardzo. Ja mam tu łóżko”.

Umościła się wygodnie i wzięła do ręki książkę, a rycerz przystąpił do pracy. Podobnie jak w przypadku młotka czy piły, z pilnikiem Rinocerus również kontaktu wcześniej nie miał, a więc piłowanie okazało się dla niego trudnym doświadczeniem. Wreszcie jednak, zlany potem i wściekły, zdołał się uporać z jednym prętem.

„Na pewno się przeciwiesz! – oświadczył. – Złaż!”

„Manier, jak rozumiem, też trzeba cię będzie nauczyć?” – spytała księżniczka, podchodząc do okna.

„A co miałem powiedzieć? – Rycerz był czerwony na twarzy. – Czy miłociwa pani raczy spróbować się precyzyjnie?”

„Nie, bo jestem panna, a nie pani, i to na pewno nie miłociwa – skwitowała księżniczka. – Ale wystarczyłoby powiedzieć: „Wydaje mi się, że dziura jest wystarczająco wielka. Mogłabyś się przymierzyć?”

„A jaka jest różnica?” – Rinocerus prychnął ze złością.

„Taka jak między czystymi gaciami a takimi noszonymi przez tydzień!”

„Jesteś bezczelna! I wredna”.

„Zdarza mi się – przyznała księżniczka. – Na ogół w reakcji na czyjś brak kultury. To jak będzie? No, więc słucham”.

„Mogłabyś. Sprawdzić. Czy. Dziura. Się. Nada” – wycedził rycerz.

„Pewnie, że się nada. – Księżniczka wzruszyła ramionami. – Wystarczy spojrzeć”.

„Nie mogłaś mi tego powiedzieć od razu?” – Rinocerus był bliski apopleksji.

„Mogłam. Ale byłeś niegrzeczny”.

Rycerz westchnął ciężko i zszedł na dół, po czym ze złością wyrzucił wszystkie narzędzia do bagna. Schodząca po nim księżniczka wywróciła oczami.

„A jeśli będziesz jeszcze kiedyś tego potrzebować? – spytała. – Nie wolno rozrzucać rzeczy!”

„Posłuchaj no mnie! – Rinocerus odwrócił się do niej. – Jestem dzielnym rycerzem i ocaliłem cię przed wielkim paskudnym smokiem, a więc przydałoby się okazać choć odrobinę wdzięczności. Nie mówię, żebyś od razu padała mi do stóp i tak dalej, ale »jestem

ci niebywale wdzięczna za ocalenie przed niechybną śmiercią, najcudowniejszy z wybawicieli» byłoby jak najbardziej na miejscu”.

Księżniczka wzięła się pod boki, przechyliła lekko głowę i stała, wsłuchana w tyradę rycerza. Wysoko nad ich głowami gromadziły się ciemne, burzowe chmury.

„Zarzucasz mi brak kultury, a sama wydzierasz się jak podpalona wiedźma! – darł się rycerz. – Jeśli masz zostać moją żoną, naucz się milczeć! I uśmiechać miło! I kiwać głową, kiedy coś powiem! Moi rodzice nigdy nie zaakceptują takiej paskudnej złościcy!”

„Aha” – powiedziała księżniczka.

Spadły pierwsze krople wody. Rycerz spojrzął na niebo i zaklął.

„Jeszcze tego brakowało – mruknął i zasłonił sobie głowę tarczą, by nie zmoknąć, a potem zerknął na księżniczkę. – No, ruszaj się. Idziemy”.

Księżniczka zaś stała wśród coraz gęstszego deszczu i spoglądała w ślad za rycerzem, który szedł przed siebie, nawet się nie odwróciwszy. Potem wydeła usta, pokręciła głową i zawróciła.

Rinocerus w końcu zauważył, że nikt za nim nie idzie. Spojrzął za siebie i ujrzał księżniczkę w połowie wysokości drabiny.

„A ty gdzie?!” – wrzasnął.

„Tutaj!” – odparła księżniczka.

„Miałem na myśli: dokąd się wybierasz?” – Rycerz tupnął nogą, co wyszło komicznie, bo pod jego stopami zbierało się już błoto.

„Na górę! – odkrzyknęła dziewczyna. – Zostawiłam tu coś ważnego!”

„Tylko szybko! – prychnął Rinocerus. – Ile można czekać! Do zamku mojego ojca został jeszcze niezły kawał drogi!”

Księżniczka wpęzła do swej komnaty na szczycie wieży i przez długi czas nie wychodziła. W końcu jej wybawiciel stracił resztki cierpliwości i podszedł bliżej.

„Można wiedzieć, co takiego ważnego tam zostawiłaś?” – krzyknął, zadzierając głowę.

„Suche ciuchy na przebranie!”

„Rety, pospiesz się! Bierz je i idziemy!”

„Ciekawe – oświadczyła księżniczka, opierając łokcie o parapet. – Czy ja ci powiedziałam, że gdzieś się wybieram? Albo czy dałam ci do zrozumienia, że wracam na górę, by się spakować?”

„A czy to nie oczywiste?” – Rycerz wziął się pod boki.

„Nie – oznajmiła księżniczka. – Nie dla mnie. Twój brak kultury, drogi Rinocerusie, to doprawdy mały problem w porównaniu z brakiem umiejętności prowadzenia sensownej rozmowy”.

Ujęła drabinę i ze wszystkich sił ją odepchnęła. Rinocerus odskoczył w ostatniej chwili. Drabina runęła i rozpadła się na skutek zderzenia z błotnistą ziemią.

„Na szczęście wszystko przyćmiewa twoje skrajne nieogarnięcie. – Księżniczka wydeła usta. – Bo w sumie mógłbyś tę drabinę naprawić albo zbudować nową, ale chyba wyrzuciłeś narzędzia, prawda?”

Rycerz, ku uciesze księżniczki, odgrażał się jej jeszcze przez dłuższą chwilę. Skakał wokół wieży, machał pięściami i dał się, a że błotnista ziemia była śliska, wywrócił się kilkanaście razy i wkrótce wyglądał jak wujek Zwierzak w chwili szczęścia. W końcu księżniczka się znudziła i poszła spać, a rycerz stracił głos i ochotę do dalszych pogroźek. Usiadł na ziemi i zaczął się zastanawiać, co począć, ale rozmyślenia przerwał mu głośny, rytmiczny chlupot z bagien. Odwrócił się i ujrzał łeb smoka, którego wcześniej dziabnął w brzuch. Wrzasnął z przerażeniem i umknął gdzie pieprz rośnie, a smok z sapnięciem ułożył się pod wieżą.

„Cześć” – powiedziała księżniczka.

„Cześć – odparł smok. – Ciągłe tu jesteś?”

„Jak widać – rzekła dziewczyna. – Gdybyś się pospieszył, może udałoby ci się jednak zeżreć tego rycerza”.

„Nie dałbym już rady – odparł smok i wydlubał sobie pazurem kawałek rycerskiego siodła spomiędzy zębów. – Jak się za bardzo najem przed snem, mam koszmary”.

„Nie masz do mnie żalu za tę sztuczkę z lassem?”

„Gdzie tam! – obruszył się potwór. – My, smoki, wcale nie jesteśmy pamiętliwe. Wcale a wcale. Nie to, co ludzie”.

„O, to bardzo dobrze – ucieszyła się księżniczka. – Umówmy się więc, że posiedzę tu jeszcze jakiś czas i będę ci zwabiać rycerzy na rumakach, co?”

„Świetny układ!” – Bestia pokiwała łbem.

„Tylko nie zjadaj ich od razu! – poleciała mu surowo księżniczka. – Daj każdemu kwadrans, by się wykazał. Może któryś okaże się

normalniejszy i jakoś go polubię?”

„A po czym go poznam?” – zainteresował się smok.

„Z własnej woli rozłoży nade mną parasolkę, zwinie ją, jak na niego fuknę, a potem zrobi mi coś pysznego do jedzenia – powiedziała księżniczka. – I nie obrazi się, jak zasugeruję poprawki”.

„Brzmi nieźle – przyznał smok. – To czekamy”.

„Czekamy”. – Księżniczka pokiwała głową.

I czekali.

– Fcale nie stlasna – ocenił Nuut, a Sara z uśmiechem nachyliła się, by zmierzić mu czuprynę.

– I serio ten rycerz nie dał sobie rady ze smokiem? – westchnął rozczarowany Edvin.

– A kto ci, synku, powiedział, że rycerz musi koniecznie walczyć ze smokami? – Sara uniosła lekko brew. – Cóż, jeśli sytuacja tego wymaga, musi stawić czoła potworowi, ale poza tym powinien zajmować się innymi rzeczami.

Naburmuszony Edvin nie podjął tematu. Zamiast tego skrzyżował ramiona na piersi z mocno skwaśniałą miną.

– A ta księżniczka była mocno przemądrzała – dodał. – Zupełnie jak Salia.

– Chcesz powiedzieć, że miewała raz na jakiś czas rację, a tobie się to nie podobało? – Sara uniosła drugą brew.

– Mniej więcej – przyznał Edvin z dziecięcą dobroduszością.

– Coś podobnego. – Sara znów się uśmiechnęła i puściła oko do córki, która siedziała nieruchomo z nieobecną, mocno rozkojarzoną miną, jakby wiedziała, że bajka mamy była skierowana bezpośrednio do niej, i usiłowała przeanalizować jej treść na własny użytek.

– Jesce wujek Zychłóń – przypomniał sobie Nuut.

– Właśnie! – Edvin podskoczył z entuzjazmem. – Jeszcze on nam bajki nie opowiedział! Będzie o wiedźmach! I sabatach! I miotłach! I tańcach wokół ognisk!

– Tak? – mruknęła słodko Sara. – I o czym jeszcze?

Z dziedzica karczmy dobiegło rżenie koni i jakieś krzyki. Główki dzieci natychmiast odwróciły się ku oknu, a Edvin oczywiście

zapomniał o pytaniu mamy.

– Coś się dzieje! – szepnął z entuzjazmem i już się zrywał, by skoczyć ku szybie, pociągając za sobą resztę rodzeństwa, ale zatrzymała go ostra komenda mamy.

– Stój! Wszyscy do łóżek.

Dzieciaki westchnęły z żalem, ale żadne z nich nie miało w sobie tyle odwagi, by sprzeciwić się mamie. Wszystkie posłusznie wślizgnęły się pod kołdry, a wtedy Sara wstała i podeszła do okna.


– Rzeczywiście, coś się dzieje – mruknęła. – Tata z wujkami coś knują i w sumie warto by wiedzieć, co takiego... Dobrze, dzieciaki – powiedziała, odwracając się. – Zostańcie w łóżkach, a ja pójdę po wujka Żychłonia. Jeśli zobaczę kogoś poza łóżkiem, o bajkach nie będzie już mowy!

Pogroziła im żartobliwie i wyszła.

Karczma Pod Kaprawym Gryfem

Trochę ponad godzinę
do świątecznej kolacji





Myślałem, że serce mi się zatrzyma na widok Sary, która zjeżdża z wrzaskiem z dachu i zatrzymuje się na rynnie. I chyba rzeczywiście by mi stanęło, gdyby Zwierzak i Żychłóń natychmiast nie przypadli do niej i nie pomogli jej wleźć na drabinę, z której właśnie się zsunęła. Mimo to z trwogą patrzyłem, jak wściekle przeklinając, pnie się ku oknu sypialni dziecięcej, w którym Urgo właśnie wrywał magiczny parapet Żychłonia.

– Uff! – westchnąłem cicho, gdy moja żona wreszcie wczłogała się do środka, witana chóralnymi wrzaskami dzieci.

– Na twoim miejscu bym się tak nie cieszył – odezwał się przytomnie Gramm. – Jeśli ona zrealizuje choć połowę tych gróźb, będziesz spał w stajni do lata.

– Większość była wycelowana w Żychłonia! – powiedziałem bez przekonania.

– Tych mniej ambitnych – napomniął mnie krasnolud.

– Przestań krakać – rozzłościłem się. – I skupmy się lepiej na polowaniu na wilkołaka.

– Świetnie. – Gramm splunął na śnieg. – A masz może jakieś pojęcie, gdzie go szukać?

Cóż, nie miałem. Zerknąłem na budę Paprocha w nadziei, że może pies wskaże mi kierunek, ale kundel guślarza najwyraźniej znudził się emocjami i schował głęboko w jej ciepłym wnętrzu.

Pozostawały mi więc własne domysły. Wiedziałem tylko tyle, że Hieronim przeskoczył mur okalający karczmę i zniknął gdzieś za nim, a więc mógł się kryć ledwie kilka kroków ode mnie. Łatwiej byłoby go namierzyć, gdybyśmy wiedzieli, na czym mu tak naprawdę zależy, a takiej wiedzy nie mieliśmy. Przypuszczalnie – choć tu brakowało pewności – miał na pieńku z owym niby-kapłanem, który wedle słów Zwierzaka został ulokowany na tym samym piętrze, co moje dzieciaki, ale tam nie mógł dotrzeć. Po pierwsze, na tym samym piętrze przebywała przynajmniej jedna kobieta, a tych wilkołaki ponoć się wystrzegały. Po drugie, dojście na górę blokował mu teraz Urgo, jedyny z nas, który potrafił przynajmniej na chwilę sprostać mu w walce, tym bardziej że do starcia doszłoby w ciasnym korytarzu.

Nie żartowałem wcześniej – naprawdę pragnąłem uniknąć rozlewu krwi – ale jeśli ten włochaty dzikus wdarł się do mojej karczmy i zakradł się w bezpośrednie sąsiedztwo moich dzieci, nie będę miał dla niego cienia litości.

– Przeszukamy najpierw karczmę – oznajmiłem. – Krok po kroku. Każdy pokój i każde pomieszczenie, piętro po piętrze. Jeśli go tam nie ma, zamkniemy drzwi i rozpoczniemy poszukiwania na zewnątrz.

– No, teraz to gadasz sensownie – mruknął Gramm, a Zwierzak z entuzjazmem pokiwał głową.

– Widział ktoś Eliaha?

– Prędzej tego Hieronima znajdziemy niż cholernego elfa – syknął ze złością Żychłoń.

– Wiesz, że Sara chce ci wsadzić pogrzebacz w dupę? – przypomniało się nagle Grammowi.

– Mnie? – zdziwił się guślarz. – A nie Kociołkowi?

– Kociołkowi to ona chce...

– Dość – warknąłem. – Posprzątajcie tę drabinę. Nie będziemy podsuwać wilkołakowi pomysłów.

Usunęliśmy drabinę i zamknęliśmy ją w szopie, a potem powoli, ostrożnie ruszyliśmy ku wejściu do karczmy. Śnieżyca trochę osłabła i nasze pochodnie płonęły równym płomieniem, z rzadka trącane wiatrem. Krok za krokiem zbliżaliśmy się do głównego wejścia do karczmy, które, otwarte szeroko, nigdy dotąd nie wydało się równie ciemne, ponure i nieprzyjazne. Miałem wrażenie, że szalejąca śnieżyca w okamgnieniu wyssała ze środka całe rodzinne ciepło, które tak bardzo ceniłem.

Wiatr trącił ciężkie drzwi, które przymknęły się z przeciągłym skrzypnięciem, a potem znów się odchyliły.

– Jest w środku – szepnąłem do wszystkich i podniosłem pochodnię wyżej.

Tego wieczoru bez przerwy wybiegano z karczmy i wbiegano do niej, przez co nie sposób było doszukać się sensu w plątaninie śladów, już częściowo zatartych przez niecierpliwą zamieć, ale wydawało mi się, że dostrzegam wśród nich pazurzaste tropy wilkołaka. To zmotywowało mnie jeszcze bardziej.

– Jest w środku! – warknąłem głośniejszym głosem i najciszej jak umiałem, wbiegłem do środka.

Za mną wpadł Zwierzak, po nim Żychłoń, a na końcu Gramm. Nasze pochodnie rzucały niespokojne cienie na ściany, ale wypędzały ciemność ze wszystkich kątów. Wilkołaka nie było ani pod ławami, ani w schowku na miotły, ani – na szczęście – w kuchni. Nikt nie tknął rozłożonych na ławach produktów, z których przyrządzaliśmy świąteczne potrawy, i nikt nie potrącił żadnego z mebli. Ogień w kominku dogasał powoli, zapomniany przez nas wszystkich.

– Nie ma go tu! – mruknął Żychłoń. Białka jego oczu błyskały czerwienią w blasku pochodni.

– Schody! – syknął Zwierzak.

Odwróciłem się błyskawicznie i równie szybko zrozumiałem, co goblin chce przekazać. Na schodach nie widziałem ani świeżego śniegu, ani mokrych plam po stopniącym.

– Jest na piętrze – stwierdziłem. – Dostał się tam jednym susem! Widzieliście, jak ten kurwizjon skacze?

Przerwało mi niespodziewane, głośnie trzaśnięcie drzwi wejściowych.

Przez chwilę krótką jak szczęście hazardzisty miałem nadzieję, że zamknął je przeciąg, ale potem przypomniałem sobie, że przecież wiatr osłabł na chwilę, zanim weszliśmy do środka. Na pewno nie zdołałby z taką potęgą machnąć ciężkimi dębowymi drzwiami, które Gramm rzeźbił, docinał i montował przez dwa długie tygodnie...

Majster doszedł do tego samego wniosku w dokładnie tym samym momencie. Ze zwinnością, o którą trudno posądzać krępego krasnoluda o krótkich nogach, przypadł do drzwi i pchnął je ze wszystkich sił. Potem ponowił natarcie z głośnym stęknięciem. Wsparł go Żychłoń, który był najbliżej, ale drzwi nawet nie drgnęły.

– Gówno tam na piętrze! – warknął wściekły krasnolud. – Włochaty gnojek cały czas był na zewnątrz! Zatarasował drzwi, by nas uwięzić!

– Tylne drzwi! – wrzasnąłem w biegu.

Wpadłem do kuchni, niemalże potrącając kociół z bigosem, wciąż pyrkający na lekkim ogniu, w ostatniej chwili uskoczyłem przed zydlem, który prawie na pewno zostawiła tam moja teściowa, i przypadłem do drzwi wychodzących na podwórko. Szarpnąłem ze wszystkich sił, ale te nawet nie drgnęły.

– Te też zatrzęsnał! – krzyknąłem do moich towarzyszy, którzy wpadli do kuchni w ślad za mną. – Na piętro!

W przejściu powstał na moment wymachujący bronią i wściekle przeklinający zator, który udało mi się wypchnąć z powrotem do izby gościnnej.

– Na piętro! – powtórzyłem z desperacją.

Mój ojciec, który wybudował Gryfa, żył w nieustającym lęku przed wrogą napaścią, przez co pomyślał naszą karczmę jako ewentualną twierdzę. Z tego też powodu okna na parterze, choć liczne, były właściwie okienkami i nawet Zwierzak nie potrafił się przez żadne z nich przecisnąć. Wiedziałem, bo próbowaliśmy. Mogło się to udać jedynie na piętrze, choć tam z kolei czekał nas kilkumetrowy skok w dół. Liczyłem na to, że śnieg załagodzi upadek, a tymczasem...

– Co się tu wyrabia?! – huknął Urgo, którego ciemna postać zamajaczyła na schodach.

– Był w środku?! – wrzasnąłem zasapany, pędząc ku górze.

– Kto? – Urgo cofnął się o krok, zaskoczony impetem, z jakim wtargnąłem na piętro. – Co? Co tu się dzieje? Kociólek, zaraz dzieciaki wybiegną z sypialni!

Przecisnąłem się między jego zardzewiałym pancerzem oraz framugą drzwi i wpadłem do jednego z pokojów, które wynajmowaliśmy gościom. Tygrysim skokiem przypadłem do okna i zacząłem się siłować z klamką, ale wtedy odciągnęło mnie mocne szarpnięcie.

– Posłuchaj no mnie! – warknął Żychłoń. – Opamiętaj się i posłuchaj! Jeśli myślisz sobie, że skoczę z okna na piętrze, by otrzepać się i popędzić przed siebie w sam środek śnieżycy, a tam dorwać wilkołaka, jesteś pieprznięty.

– A jak chcesz go dorwać? – syknąłem na niego. – Chcesz go może na kielbaskę w sidła złowić?

– Wszystko jest lepsze od dzikiego skoku z okna! – parsknął rozeźlony guślarz. – Kociólek, uspokój się! Nie sądzisz, że powinniśmy najpierw się dowiedzieć, o co temu włochatemu chodzi?

– A jakbyś się chciał tego dowiedzieć? – Rozłożyłem ramiona w próżnym geście.

Żychłoń wywrócił oczami, co w jego wykonaniu wyglądało naprawdę upiornie.

– Moglibyśmy zacząć od wizyty u tego całego ojca Taspera! – Westchnął. – Moglibyśmy wypytać go, czy coś go aby z naszym Hieronimem nie łączy.

Zatkało mnie.

– Ano... – wykrztusiłem. – Ano moglibyśmy.

Odsunąłem się od okna i otrzepałem dłonie, jakby pomysł skoku tak naprawdę wyszedł od kogoś innego, a ja chciałem się od tego szybko odżegnać.

– Czy ktoś wie, gdzie mamuśka go zaprowadziła? – spytałem, desperacko usiłując zignorować gorące rumieńce na policzkach.

– Do piątki – rzekł Zwierzak z przekonaniem.

Westchnąłem z rezygnacją. Goblin mieszkał wśród nas od lat, ale nadal nie nauczył się rozróżniać cyfr ani liczb.

– Do której piątki?

– Tej niedaleko dzieci! – Zwierzak wzruszył ramionami.

– Aha. Dobra, idziemy. Tylko cicho, żeby nie zwrócić ich uwagi! – szepnąłem. – Na paluszkach, bo... No!

Tym razem to Urgo wywrócił oczami, ale odwróciłem się, udając, że tego nie widzę, i czym prędzej ruszyłem w stronę schodów prowadzących na najwyższe, drugie piętro, gdzie znajdowały się głównie nasze pokoje. Stopnie, a po nich deski piętra lekko skrzypiały, pancierz Urgo pobrzękiwał, Gramm mamrotał coś do siebie, ale mimo to usłyszałem stłumiony głos Sary, opowiadającej dzieciom bajkę. Uśmiechnąłem się mimowolnie – nie umiałbym tego wytłumaczyć nikomu, ale wystarczyło mi czasem usłyszeć głos żony w samym środku zabieganego, trudnego dnia, bym natychmiast odzyskał siły i humor.

– To tu! – odezwał się Zwierzak teatralnym szeptem, wskazując drzwi do pokoju numer dwanaście.

Wydawały się niedomknięte.

Wówczas uświadomiłem sobie coś jeszcze. Od kilku minut biegaliśmy w tę i we w tę, trzaskaliśmy drzwiami, krzyczeliśmy i przeklinaliśmy, a praca w kuchni leżała odłogiem od dobrej godziny. Zrobiliśmy więc wszystko, co było w naszej mocy, by ściągnąć na siebie uwagę Andrei i wyzwolić jej wściekłą tyradę, ale w Gryfie panowała niepokojąca cisza.

Kto by pomyślał, parsknąłem w duchu. Czyżbym zatęsknił za jazgotem teściowej?

Mimo to mój niepokój nagle wzrósł. Czym prędzej pchnąłem drzwi i...

Zamarłem.

Pokój, do którego Andrea zaprowadziła ojca Taspera, był pusty. Kapłan zniknął bez śladu, a moja teściowa leżała na podłodze z rozrzuconymi szeroko ramionami. Przyskoczyłem do niej, uklęknałem i dotknąłem palcami jej szyi. Odetchnąłem z ulgą, wyczuwszy słabe tętno.

– Żyje – mruknąłem. – Gramm, pomóż mi ją ułożyć na łóżku.

Wraz z krasnoludem dźwignęliśmy Andreeę z ziemi, a Żychłóń uważnie obejrzał jej głowę, po czym wskazał wielki guz na potylicy.

– Uderzył ją, gdy się odwróciła – mruknął. – Sukinsyn. Nie żebym przepadał za twoją teściową, Kociotek, ale tak się po prostu nie robi.

– Zgadza się – odparłem cicho. – Cucimy ją?

– Nie, nie przesadzajmy – powiedział guślarz. – Aż tak to jej nie współczuję.

– Słyszałeś Sarę? Andrea doszła do wniosku, że ojciec Tasper wcale nie jest kapłanem, co najwidoczniej postarała się mu udowodnić. Ten wykorzystał sposobność, by odebrać jej przytomność i zwiać, a że my akurat uganiał się za wilkołakiem, przyszło mu to bez trudu. Ba, założę się, że podprowadził nam jakiegoś konia!

Odetchnąłem.

– Chromolić wilkołaka. Teraz sprawa zrobiła się osobista. Muszę dorwać tego pieprzonego ojczulka i natłuc chamowi po gębie.

– O ile wilkołak ci coś zostawi – wtrącił guślarz. – Coś mi mówi, że ojczulek chciał się u nas zadekować ze strachu przed włośchatym. Skoro jednak Andrea go zdemaskowała, a wilkołak znikł, postanowił sam dać dyla. Dobra teoria?

– Dobra. Teraz musimy jedynie...

Przerwał nam łomot dobiegający z dołu, a potem skrzypnięcie otwieranych drzwi.

– To Eliah! – zawołał stojący na schodach Zwierzak.

– Proszę! – mruknąłem. – Jego elfowatość postanowił do nas mimo wszystko dołączyć!

W odruchu, który miał mnie później długie lata prześladować, okryłem moją nieprzytomną teściową kocem i wyszedłem z jej pokoju, po czym – wciąż na palcach – przemknąłem do schodów. Wraz z resztą drużyny zszedłem na dół, gdzie zastałem Eliaha, który siedział przy ogniu i jadł pajdę chleba ze smalcem.

– Gdzie byłeś? – naskoczyłem na niego.

Elf miał pełne usta, a więc ograniczył się do wskazania za siebie kciukiem.

– Tak, wiem, domyśliłem się. Byłeś na zewnątrz. Ale po co? Wołaliśmy cię!

Eliah, wciąż żując, wzruszył ramionami.

– Musisz żreć, jak do ciebie mówię?

Elf pokiwał głową.

– Nie możesz sobie przerwać?

Kręcenie głową.

Myślałem, że trafi mnie szlag, ale z Eliahem trzeba było postępować równie ostrożnie jak z ochłapem mięsa wśród śpiących psów. Czasem wystarczyło jedno słowo lub jeden gest za dużo, by zamknął się w sobie na naprawdę długo. Ja tymczasem potrzebowałem jego pomocy, i to zaraz.

Zdusiłem więc w sobie gniew i stałem naprzeciwko niego jak baran, czekając, aż zmoże kanapkę ze smalcem, wyjątkowo długą i grubą. W końcu jednak wytarł dłonie o spodnie i spojrzał na mnie wyczekująco.

– Mógłbyś nam wyjaśnić, gdzie byłeś i co robiłeś? – warknąłem. – Bo my się tu za wilkołakiem uganialiśmy i naprawdę przydałaby nam się twoja pomoc.

– Aha – mruknął Eliah i sięgnął po kolejną pajdę oraz miskę ze smalcem. Okazałem się szybszy od niego i w porę mu ją odsunąłem, wobec czego elf spojrzał na mnie z wyrzutem.

– Aleś ty upierdliwy – mruknął. – Tego kapłana gonilem. To naprawdę takie ważne?

– Gonileś kapłana? – Otworzyłem szeroko oczy. – Cholera, Eliah, i co? Dogoniłeś go?

– Pewnie. Mogę ten smalec?

– Nie! – ryknąłem. – Nie dostaniesz ani odrobiny smalcu, dopóki nie powiesz mi, co się stało z ojczulkiem Tasperem!

– A by cię szlag! – syknął elf. – Nie rozumiesz, że właśnie opowiedziałem bajkę twoim dzieciakom? Zużyłem większość słów na ten tydzień, a mamy, cholera, poniedziałek! Czego ty ode oczekujesz, co? O tego udawanego kapłana ci chodzi? A proszę bardzo! Złapałem go, skrępowałem i przywiązałem do konaru tego dębu, pod którym Żychłóń swoje medytacje uprawia! Chciałem go zawlec do Gryfa, ale długo trwało, zanim znalazłem konia, którego ukradł, i zrobiłem się głodny. Uznałem więc, że wrócę po niego kiedy indziej, bo teraz chcę zjeść pajdę chleba ze smalcem! Drugą! Wystarczy?

– W zupełności – wyjąkałem, nieco poruszony elfim wybuchem. – Czyli ojciec Tasper tkwi przywiązany do Żychłoniowego dębu? W samym środku śnieżycy? W lesie, w którym szaleje wilkołak?

Elf nie skwitował tego ani słowem. Zamiast tego spojrział na mnie jak na idiotę i powrócił do smarowania drugiej pajdy.

– Zdaje się, że zapominamy o najważniejszym – oznajmił Gramm, który, zachęcony przykładem elfa, również ukroił sobie godną kromkę. – Po co właściwie ów kapłan dał dyla? Trzeba mieć sporo odwagi, by wiać w sam środek burzy!

Elijah, żując już kolejny kęs, ruchem głowy wskazał leżącą pod ścianą sakwę mokrą od stopniałego śniegu i ewidentnie należącą wcześniej do ojca Taspera. Podeszedłem do nich i trąciłem ją nogą. Usłyszałem cichy chrzęst monet.

– Złodziej – mruknąłem. – Złodziej w kapłańskich szatach.

– Nie wypada, Kociółek – szepnął Urgo. – Nie wypada zostawiać go na łasce wilkołaka.

– Rzeczywiście, nie wypada – powiedziałem, naciągając kaptur na głowę. – Jeszcze się wilkołak przyzwyczai, że u nas łatwo o żarcie, i się zagnieżdzi.

Kątem oka dostrzegłem ruch. Śmiertelnie blada Andrea schodziła ostrożnie po schodach, trzymając się za głowę. Szeroko otwartymi oczami rozglądała się dookoła, ale coś mi mówiło, że usłyszała większość naszej rozmowy.

W tej samej chwili w głowie ułożył mi się plan.

– Ubierać się! – warknąłem. – Ruszamy, by sprawę załatwić raz na zawsze. Tym razem konno! Elijah?


Elf wymownym gestem pokazał mi trzecią pajdę.

– Dobra, dołączysz, jak przeżujesz – zakomenderowałem. – Szanowna mamusia zaś jedzie z nami. Zapolujemy na wilkołaka i kapłana-przebierańca, wie mamusia? Dola będzie nóżkami przebierać z radości.

Okolice karczmy Pod Kaprawym Gryfem

Pół godziny do kolacji,
ale w sumie i tak nie ma już
sensu liczyć





Pędziliśmy przez las jak rozhukany orszak wojowników zimy, trzymając nad głowami pochodnie.

Ulubiony dąb Żychłonia wcale nie znajdował się daleko, ale osiodłanie wierzchowców też chwilę trwało i zaczynałem nabierać przeświadczenia, iż być może mamy do czynienia z pierwszym w historii przypadkiem, gdy pajda chleba ze smalcem zadecydowała o życiu bądź śmierci. Wilkołak miał wszak mnóstwo czasu, by odnaleźć fałszywego kapłana Taspera, i po prawdzie liczyłem się z tym, że ujrzymy dyndające z gałęzi, częściowo obżarte zwłoki.

Takiego Dnia Zstąpienia Doli to się naprawdę nie spodziewałem.

Mimo to jechaliśmy w śnieżną noc. Ja gnałem jako pierwszy, za mną Żychłoń, od czasu do czasu wskazując nam drogę, Urgo, przytrzymujący przed sobą Andreę, a na końcu przeklinający dziko Gramm i nieco zaskoczony rozwojem sytuacji Zwierzak.

Eliah obiecał, że dołączy, jak skończy czwartą pajdę.

Wiatr w istocie cichł i z rzadka jedynie roztrącał wirujące w powietrzu śnieżynki. Las, zaskakująco jasny, jak to czasami bywało w śnieżne noce, zdawał się zastygły w zimowym bezruchu, uśpiony i całkowicie obojętny na obecność zastępu jeźdźców. Przez cały czas obawiałem się, że lada chwila rozlegnie się przeraźliwe wycie sfory wilków czy ich nadludzko silnego przywódcy, ale słyszałem jedynie pobrzękiwanie uprzęży i chrapanie wierzchowców, nienawykłych do biegu w sypkim śniegu.

Noc milczała.

Napięcie powoli ustępowało i raz po raz zerkałem za siebie, na Andreę, która jechała przed Urgo. Moja teściowa wciąż była nieco otumaniona po podstępny ciosie wymierzonym przez fałszywego kapłana, bo w przeciwnym razie nigdy nie pozwoliłaby się ubrać w futra i posadzić na rycerskim rumaku. Wyglądało jednak na to, że wcale tej odmiany w życiu nie żałowała – nadal rozglądała się dookoła szeroko otwartymi oczami i chłoneła nocne widoki, a raz czy drugi widziałem, jak mościła się wygodniej, wsparta o szeroką pierś Urgo. Najważniejsze jednak było to, że nie odzywała się ani słowem.

Cieszyło mnie to, bo była nam potrzebna. Jeśli stary przesąd nadal miał rację bytu, Andrea stanowiła naszą gwarancję

ubezpieczeniową.

– Pomocy! – poniosło się wśród nocnej ciszy. – Pomocy!

Głos był zniekształcony przerażeniem, ale i tak od razu go rozpoznałem.

– Nasz ojczulek! – warknąłem i zwołnięm.

Chwilę później wszyscy ujrzeliśmy złodzieja, sprawnie skrępowanego przez Eliaha i podciągniętego na wysokość konaruniczym monstrualna człekokształtna gruszka. Srebrny medalion zwisający mu z szyi na nikim nie robił już wrażenia – twarz Andrei do połowy przesłaniał szal, ale i tak dostrzegłem na niej grymas obrzydzenia i niechęci.

– Och, dziękuję! – bełkotał oszust. – Dziękuję wam, zacni ludzie! Uratowaliście mnie z wielkiej opresji! Dopadł mnie ten elf morderca i straszne rzeczy mi robił... Och, me serce nadal dygocze na samo wspomnienie!

Nikt nic nie mówił. Zwierzak rzucił wodze kuca Grammowi, a sam zeskoczył na ziemię i przyklęknął na śniegu, by przyjrzeć się śladom wokół wiszącego człowieka. Pokazał mi coś, co rozpoznałem od razu.

– Ów wilkołak, który dopadł cię chwilę później, już powieszzonego i skrępowanego, zrobiłby ci o wiele gorsze rzeczy – powiedziałem. – Jakimś sposobem jednakże udało ci się go pozbyć. Jak?

Wiszący oszust szcząkał zębami z zimna i przerażenia, a z jego nozdrzy spływały długie, rozkołysane smarki.

– Nie wiecie, panie, że wilkołak to Złe? Cisnąłem w niego imieniem Doli i umknął w popłochu. Rozwiążcie mnie, panie!

– O Złym wiem więcej, niż ty kiedykolwiek zdążysz zapomnieć – powiedziałem. – I stąd wiem, że trzeba mu cisnąć coś konkretniejszego od imienia Doli. Na przykład oszusta i złodzieja!

– He, he, co też wygadujecie, dobry panie! – Złodziej się nie poddawał. – Skąd wam takie rzeczy do głowy przychodzą, co? Przecież gościliście mnie, dobry panie! Znaie mnie! Nie godzi się mnie tak tu zostawić!

– Nie godzi się? – Andrea zaskrzeczała jak podpalona sroka, a wystraszony Urgo mało jej na ziemię nie upuścił. – Nie godzi się za świętego męża się przebierać! W pieśniach się myliłeś, modlitw nie znałeś, tradycję chciałeś zignorować, a gdym ci to wygarnęła,

w głowę mnie uderzyłeś i uciekłeś! I ja, głupia, chciałam, byś bajki o Doli moim wnuczętom opowiadał!

Tym razem to ja mało z konia nie spadłem. Znałem Andreeę od wielu lat i jeszcze nie słyszałem, by się kiedykolwiek przyznała do błędu.

– Żaden ze mnie złodziej! – zajęczał Tasper, usiłując się rozkołysać. – A gdzie niby jest to, co ukradłem?

– W Gryfie – mruknął Żychłóń. – Tam, gdzie je zostawił elf morderca. Ten od strasznych rzeczy.

– Kłamiesz, ojczulku, na każdym kroku – zdumiał się Gramm z udawaną powagą. – Tylko patrzeć, aż wilkołak też się połapie.

Spojrzałem na krasnoluda pytająco, a ten rozłożył ręce.

– Nie rozumiesz, Kociotek? – zawołał. – Hieronim zdążył już dopaść naszego złodziejaszka, ale ten wcisnął mu, że wyrzucił skradziony łup gdzieś w lesie. Wilkołak poleciał go szukać, a ojczulek dynda tu w nadziei, że może trafi się ratunek.

Zasmarkane oblicze złodzieja wykrzywił wyraz nienawiści, co oznaczało, że Gramm trafił w sedno.

– A Hieronim z zapalem szuka łupu. – Zwierzak zachichotał. – Całkiem ludzki ten wilkołak.

– I wszystko się nam poukładało! – zawołałem, by poniosło się między drzewami. – Odetnijcie, chłopaki, drania i wciągnijcie go na luzaka. Powiesimy go pod belką w izbie gościnnej.

*

I powiesiliśmy, uprzednio zakneblowawszy.

W ostatniej chwili, zdaje się, bo potem wydarzenia runęły na nas z siłą i szybkością lawiny.

Wyszedłem na werandę przed karczmą, by się rozejrzeć. W tym samym momencie ze stajni wyszedł Eliah, jedną ręką prowadząc konia, a drugą dojadając następną pajdę. Zatrzymał się, spojrzał na nas z miażdżącą niechęcią, pokręcił głową i zawrócił, by odstawić konia do boksu.

Wtedy przez celowo uchyloną furtkę wpadł do środka wilkołak.

Gnał przed siebie niczym tajfun, warcząc i parskając, ewidentnie gotów wpaść do środka, porwać złodzieja, zarzucić go sobie na plecy i zwać w mrok lasu. Chyba nie miał wobec nas wrogich

zamiarów, ale na wszelki wypadek uskoczyłem mu z drogi. Gramm, który uniósł topór, najwyraźniej wahając się, czy nie stawić gościowi czoła, został odrzucony na bok jednym ciosem ogromnej pięści i potoczył się po zdeptanym śniegu.

Wilkołak wpadł do wnętrza karczmy i długim susem rzucił się na zawieszzonego pod belką złodzieja.

Czas naraz zwolnił. Gdy wbiegłem do karczmy w ślad za Hieronimem, zobaczyłem, jak wpija się w zawieszzonego złodzieja i rozkołysuje go impetem skoku. Widziałem, jak przyczajony w kącie Urgo wznosi tępą pałą do ciosu, a Zwierzak napina łuk, gotów w każdej chwili puścić w potwora celną strzałę. Mięśnie bestii napęczniały, co oznaczało, że szykuje się do kolejnego skoku, ani chybi po to, by jednym kłapnięciem monstrualnych szczęk przegryźć linę. Kilka uderzeń serca później nie byłoby śladu ani po nim, ani po złodzieju.

Na szczęście my też mieliśmy jeszcze to i owo do powiedzenia.

Zatrzasnąłem łokciem drzwi, a z przeciwległego kąta wychynął Żychłoń z zaciętą, złowróżbną miną. W ręku trzymał oba koszyczki dla Doli, ten zebrany przeze mnie oraz ten, który przyniósł Urgo. Oba były niekompletne, ale, jak zapewnił mnie guślarz w drodze powrotnej do Gryfa, nie miało to aż takiego znaczenia. Niektóre składniki zostały bowiem dodane przez tradycję.

„No wiesz – powiedział guślarz z krzywym uśmiechem. – Żeby podkreślić ludzką gotowość na ubóstwo”.

Teraz zakręcił oboma koszyczkami i cisnął nimi w płomienie.

Błyskawicznie buchnął żywszy ogień. Szykujący się do skoku wilkołak nagle znieruchomiał, a w jego ślepiach pojawiło się bezrozumne przerażenie. Po izbie rozniósł się niepokojący zapach, a płomienie zasyczały wściekle.

Coś wzbierało w powietrzu.

– Padnij! – ryknął Żychłoń.

Nie było absolutnie żadnego powodu, bym lekceważył ostrzeżenia człowieka, który opracował najważniejszy element operacji wyeliminowania wilkołaka. Skwapliwie rymnąłem na ubłoconą podłogę, a wraz ze mną Urgo i Zwierzak.

Z komina buchnął z rykiem jęzor osobliwie czerwonego ognia.

Przygasał niemalże natychmiast i jednocześnie nastąpiła absolutna cisza. Potem rozległo się miękkie pacnięcie osuwającego się bezwładnie ciała.

– Eee... Edmund? – rozległ się głos Sary, w którym pobrzmiwała osobiwa mieszanina zdumienia, oburzenia i złości. – Możesz mi to jakoś wyjaśnić?

Poderwałem się chyżo na równe nogi. W izbie gościnnej nadal unosił się osobliwy zapach, a w kątach – kłęby dymu. Okopcony, dymiący Żychłóń stał z wzniesionymi rękami niczym natchniony prorok, a obok podnosił się oszołomiony eksplozją Urgo. Złodziej, najwyraźniej omdlały, kołysał się niczym monstrualny kokon nad ciałem nagiego Hieronima, który niespodziewanie powrócił do swej ludzkiej postaci.

Cóż, mogłem. Wszystko mogłem wytłumaczyć, ale coś mi mówiło, że zajmie to sporo czasu.

– Co tu dużo mówić, córeczko – odezwała się niespodziewanie Andrea, o której całkiem w tym zamieszaniu zapomniałem. – Skoro ten twój mąż od siedmiu boleści prowadzi beznadziejny lokal, trudno się spodziewać, by odwiedzali go klienci na poziomie.

Powoli podeszła do leżącego na ziemi, półprzytomnego Hieronima i wymierzyła mu kopniaka w dość czułe miejsce. Sara wytrzeszczyła oczy i otworzyła usta, by zaprotestować, ale usłyszała za sobą zachwycone stęknienie Nuuta:

– Babcia kopie po siusiakach!

Moja żona błyskawicznie się odwróciła, w efekcie czego Nuut czmychnął jak spłoszony zajęć.

– Szanowna mamusia wybaczy, ale to nie ten – bąknąłem. – Falszywym kapłanem jest ten powiązany.

Andrea obrzuciła go wściekłym spojrzeniem.

– Za wysoko na kopa. Opuśćcie mi go – poleciała.

Opuściliśmy.

*

Nie było wśród nas takiego, kto umiałby rozerwać linę Eliaha lub rozplątać jego węzły i daleko trzeba by szukać kogoś, kto potrafiłby tego dokonać. Hieronim i Tasper, sądząc po ich rozgoryczonych minach, z całą pewnością do tego grona nie należeli.

– Ciebie, Tasper, już rozgryźliśmy – powiedziałem, oparty o ścianę piwniczki karczmy. – Okradłeś kogoś i czmychnąłeś z łupem, przebierając się po drodze za kapłana. Sprytne. Któż bowiem odmówiłby pomocy słudze Doli w dniu jej największego święta, prawda?

– I udałoby mi się! – wrzasnął złodziej niecodziennie piskliwym głosem. – Udałoby mi się, gdyby nie ta...

– No, dokończ – zachęciłem go. – Szukam sposobności, by walnąć cię w mordę, tylko że związanego nie wypada.

Złodziej zmełł wściekłe przekleństwo. W świetle pochodni trzymanej przez Zwierzaka widziałem, jak się krzywi i przeklina. Eliah mocnym szarpnięciem sprawdził, czy jego więzy trzymają, po czym poklepał go po policzku z paskudną – nawet jak na siebie – miną i się wyprostował.

– Cóż, a naprawdę chciałem ci przyłożyć. – Westchnąłem. – Szkoda. To może chociaż powiesz, kogo okradłeś?

Złodziej milczał jak zakłęty, wpatrując się w podłogę.

– Daj spokój, Kociłek – odezwał się Uργο, ogromny i ledwie widoczny wśród cieni korytarza. – Przecież to oczywiste. Ten gnojek miał medalion kapłana, a coś takiego można znaleźć tylko w jednym miejscu!

– Obrobiłeś świątynię? – Gwizdnąłem cicho. – Rety, chłopie. Od tej pory, gdy zrobię coś głupiego, będę myślał o tobie i zaraz zrobi mi się lepiej. A ty? – zwróciłem się do Hieronima, równie ponurego jak złodziej. – Co ciebie sprowadziło pod mój dach?

Hieronim milczał.

– Nie domyślasz się? – spytał cicho Żychłóń.

Spojrzałem na stojącego w półmroku guślarza. Jego twarz niknęła w cieniach rzucanych przez pochodnię, ale widziałem jego oczy, błyszczące, stare. Wręcz prastare.

– Nie – powiedziałem krótko, odwracając się od Żychłonia. – I nie będę tego roztrząsał. Wystarczy mi świadomość, że ten sukinsyn wdarł się do mego obejścia, by popełnić przestępstwo. Bo o to ci chodziło, prawda? – warknąłem do Hieronima. – Uznałeś tego człowieka za kapłana i postanowiłeś go rozszarpać? Chciałeś prowadzić swą świętą wojnę pod moim dachem, ty włochata pokrako?

– Święta wojna – prychnął Hieronim, podnosząc wzrok, w którym dostrzegłem pogardę. – Ładnie to nazwałeś. Doskonały dowód na to, że nie wiesz, o czym mówisz.

– Niewykluczone, że ty również nie – odpowiedziałem. – Bo bez względu na to, co pchnęło cię do polowania na tego niby-kapłana, porzuciłeś swój zamysł na wieść o tym, że ten ukradł worek ze złotem.

– Darowałem mu, gdy przyznał, że jest tylko zwykłym złodziejem! – prychnął Hieronim. – Tak jak darowałem tobie i wszystkim w tej karczmie! Mógłbym was rozszarpać na strzępy!

– Spodziewasz się, jak rozumiem, wdzięczności? – spytałem. – Chciałbyś, bym podziękował ci za to, że nie jesteś bezrozumnym szaleńcem?

– Słuchaj, nic się nikomu nie stało! – wycedził Hieronim. – Ja, dla przykładu, też spory łomot od was zebrałem i do tego ktoś mnie obszczał! Nie możemy uznać, że mamy remis, że doszło do nieporozumienia, i się rozejść?

– Tak? Żebyś uznał za tydzień czy dwa, że to całe nieporozumienie w sumie mocno cię ubodło i wrócisz tu, by pozjadać mi dzieciaki? – wypaliłem.

W piwniczce nagle zrobiło się zimno. Zwierzak syknął głucho i obniżył pochodnię tak, że płomień znalazł się tuż przed twarzą Hieronima. Ten odruchowo się cofnął.

– Jesteście sobie warci – wyszczałem. – Złodziej-świętokradca i likantrop łasy na złoto. Może byście, chłopaki, spółkę założyli, co? Ale zaraz, co ja gadam. Przecież najpierw musiałbym was wypuścić stąd żywych.

Zrobiło mi się słabo ze złości.

– Nie mam litości dla nikogo, kto zakradnie się pod mój dach z nieczystymi intencjami – oznajmiłem. – Zostawimy was teraz, byście sobie dobrze przemyśleli, jakie z was skończone matoly.

Obaj chcieli coś powiedzieć, ale ja gestem wyprosiłem Eliaha i Zwierzaka na korytarz, potem zatrzasnąłem drzwi piwniczki, a Żychłoń położył na progu deskę z glifami, które nie przepuściłyby nikogo, kto spróbowałby nad nią przestąpić.

Ruszyłem naprzód, ale zatrzymałem się na schodach i odwróciłem ku reszcie.

– Dziękuję wam za wszystko – powiedziałem cicho. – Cieszę się, że ze mną jesteście. Sam nie dałbym sobie rady.

Zwierzak uśmiechnął się szeroko, Urgo skinął poważnie głową, a Eliah, który nie cierpiał zamkniętych pomieszczeń, rozglądał się nerwowo, jakby pragnął się tylko stąd wydostać. Żychłoń zaś spoglądał na mnie, jakby miał mi coś ważnego do powiedzenia, ale czekał na odpowiedni moment.

– Pozostaje sprawa tej forsy – dodałem. – Nie mam ochoty drałować do miasta, by oddać wszystko kapłanom, którzy nie dość, że uznaliby mnie pewnie za głównego podejrzanego, to jeszcze szybciotko odrobiją straty.

– Ja mam rozwiązanie – odezwał się Urgo.

Wszyscy spojrzeliśmy na niego z zaskoczeniem, nawet Eliah.

– Można by... – Rycerz się zawahał. – Eee... No wiecie. Wrzucić sakiewkę do ogrodu przy sierocińcu kapłanki Dislai, a potem dać dyla. Zrobić sierotom prezent z okazji Dnia Zstąpienia Doli. Co wy na to?

Pokręciłem głową z niedowierzaniem, przeświadczony, że Urgo będzie gorąco nalegał na zwrócenie pieniędzy świątyni. Najwidoczniej lata pobytu wśród nas zaczęły powoli kruszyć jego sztywny do przesady kręgosłup moralny, z czego należało się tylko cieszyć.

– Nieźle żeś to, chłopie, wykombinował! – mruknął z aprobatą Żychłoń, a Zwierzak podskoczył i oznajmił:

– Ja zaniosę!

– Ty nie! – ostudziłem jego radość. – Bo znowu zostaniesz w sierocińcu na trzy dni, by się bawić z dziećmi! To trzeba dyskretnie załatwić... Dobra, jutro się zastanowimy, a teraz chodźmy już na górę. Trochę się martwię o Gramma, który na ochotnika został z moją żoną i teściową, by kroić warzywa do sałatki!

Eliah skwapliwie ruszył ku schodom, a za nim Zwierzak i promieniejący z dumy Urgo. Chciałem podążyć za nimi, ale zatrzymał mnie Żychłoń, kładąc mi rękę na ramieniu.

– Co planujesz w sprawie więźniów? – spytał cicho.

– Nie wiem – westchnąłem. – Szlag mnie trafia na samą myśl o tym, że rozgrywali te swoje brudne gierki pod moim dachem, ale przecież ich nie zabiję. Nie mam też ochoty żywić drani do czasu,

gdy przybędzie tu straż, a więc chyba będzie trzeba zabrać ich do najbliższego miasta.

– A wtedy sędzia spyta Taspera, co zrobił z pieniędzmi, a on, dajmy na to, powie prawdę. – Żychłoń się skrzywił. – I co wtedy? Nie, Kociołek. Ja proponuję inne rozwiązanie. Wyprowadźmy złodziejaszka na rozstaje, dajmy zawiniątko z czymś do żarcia i stary kubrak, postraszmy go Eliahem i pożegnajmy kopem w dupę.

– A wilkołak?

– Wilkołaka – Żychłoń odetchnął – oddaj mi.

– Chyba ci odbiło.

– Wręcz przeciwnie, chłopie. – Guślarz roześmiał się chrapliwie. – Mam plan.

– I do realizacji potrzebujesz wilkołaka?

– Otóż to.

– Czy ja chcę wiedzieć, co sobie wymyśliłeś?

– Dowiesz się w swoim czasie – obiecał Żychłoń. – Ale chętnie wyjaśnię ci, co mną powoduje.


– No to wal.

– Nie tu i nie teraz – mruknął guślarz. – Poczekaj, chłopie, na moją bajkę. A teraz chodźmy na górę. Ja też boję się o Gramma.

Karczma Pod Kaprawym Gryfem

Mocno spóźniona kolacja świąteczna
i długo wyczekiwana
bajka Zychłonia





Ogień w kominku rozjarzył się energicznie, gdy Eliah dorzucił jeszcze kilka szczap. Kątem oka widziałem, jak elf wstał i odruchowo ruszył w stronę drzwi, ale zwolnił i się zatrzymał, a potem sapnął cicho, mruknął coś pod nosem i zawrócił w stronę stołu, który Urgo już zakrywał obrusem. Więcej nie widziałem, bo cofnąłem się do kuchni, ale przepuszczałem, że zaraz potem zaczął rozkładać naczynia. Sara, zajęta dodawaniem przypraw do grzanego wina, uśmiechała się pod nosem, słysząc, jak Gramm strofuje rozchichotane dzieciaki, każąc im założyć pantofle przed wyjściem z sypialni. Za naszymi plecami Andrea łajała strapionego Zwierzaka, który podjął próbę pospiesznego zebrania nowego koszyczka, a Żychłóń z powagą mieszał zupę z ostatniej jesiennej dyni. Zapach cynamonowego ciasta mieszał się z wonią wina i dymu drzewa owocowego. Ktoś, chyba Urgo, zaczął śpiewać świąteczną pieśń, którą podchwyciły zbiegające na dół dzieciaki, a po nich, ku mojej zgrozie, Andrea i Gramm.

– Do stołu! – zawołałem uroczyście. – Wszyscy do stołu!

I zasiedliśmy – zarumieniona Sara, w której oczach zmęczenie mieszało się z radością, dziwnie wzruszona Andrea, podekscytowane, rozszczebiotane dzieciaki, poważny Urgo, po raz pierwszy od dawna bez zbroi, nieco podchmielony Gramm, któremu Salia zawiązała na brodzie czerwoną wstążkę, zachwycony Zwierzak i Eliah, który wyglądał, jakby jednocześnie bardzo chciał się stąd wynieść i jeszcze bardziej tu zostać. Z zaskoczeniem skonstatowałem, że nie ma wśród nas Żychłonia. Wstałem, by go przywołać, i w tej samej chwili ujrzałem, jak idzie ku nam, niosąc skompletowany przez Zwierzaka koszyczek dla Doli.

Zaszurała odsuwana ława, gdy Andrea się podniosła. W błyszczących oczach mej teściowej odbijały się promyki świateł, rozstawionych między półmiskami i koszami z chlebem.

– Tradycja nakazuje, aby tego cudownego wieczoru, kiedy to Dola zstępuje na ziemię, by spędzić chwilę wśród nas, błogosławieństwo wygłosiła najstarsza z zebranych przy stole osób – zaczęła, ale dokończyć nie zdołała, bo w tej samej chwili przy stole stanął Żychłóń.

– Tedy niech szanowna pani spocznie – oznajmił tubalnym głosem. – Bo wszyscy tu mamy oczy i dobrze widzimy, że pięknem, energią i mądrością mogłaby pani cały fraucymer obdzielić, a jeszcze by zostało! Jam tu najstarszym i ja wygłoszę błogosławieństwo!

Wyraz twarzy teściowej mówił wyraźnie, iż wie, że powinna stanowczo zaprotestować, ale komplement Żychłonia całkowicie odebrał jej wolę walki. Opadła więc, zaskoczona, na ławę, a guślarz postawił przed sobą koszyczek i rzekł:

– Radujmy się tym, że znów, jak co roku, siadamy do stołu, zdrowi, pełni energii i nadziei na nowe jutro. Radujmy się tym, że czeka nas wspaniały posiłek, uświęcony naszą pracą, a przed mroźną zimą chroni nas ciepło przyjaźni, opieki i miłości. Radujmy się tym, że wspólnie potrafimy ocalić to, co dla nas najważniejsze, a miejsce czczych rytuałów i pustych formułek zastępują wśród nas uśmiech, dobre słowo i wyciągnięcie pomocnej dłoni.

– Ale... – zaczęła Andrea, jednak jej głos utonął wśród entuzjazmu, jaki wybuchł wzdłuż stołu.

Gramm wzniósł toast kubkiem grzanego wina, Urgo i Sara bili brawo, Zwierzak zagrał kilka wesołych taktów na fujarce, a Eliah oszczędnie kiwał głową. Dzieciaki śmiały się głośno, podskakiwały i robiły głupie miny, a ja czułem, jak przepętnia mnie szczęście.

– Niech żyje Żychłoń! – zawołałem. – Szczęśliwego Dnia Zstąpienia Doli!

Wszyscy spełniliśmy toast winem, a dzieci grzanym sokiem z jabłek, po czym oznajmiłem:

– Jedzmy więc i pijmy! I niech ta noc nigdy się nie skończy!

Sara sprawnie napełniła wszystkie miski zupą cebulową i wzdłuż długiego stołu poniosło się pełne entuzjazmu ciamkanie. Żychłoń jednakże, zignorowawszy swą porcję, splótł palce ogromnych dłoni i rozpoczął opowieść.

Pewnego razu, a było to dawno, dawno temu, światem rządziła dwójka bóstw, brat i siostra. On nazywał się Dola, a ona zwała się Los. Szanowali się i kochali, jak rodzeństwu przystało, a co

ważniejsze, skrupulatnie podzielili między sobą obowiązki. I tak oto Dola troszczył się o ludzi, a Los o wszystko, co ludzi otaczało – o to, co żyło w lasach, o to, co przynosiły chmury, i o to, co wzrastało z ziemi. Byli od siebie różni, ale mimo to pozostawali sobie bliscy i niczego nie robili wbrew sobie.

Pewnego wieczoru, gdy Dola i Los siedzieli przy palenisku w swej niebiańskiej siedzibie, brat zwrócił się do siostry:

„Ludzie stali mi się naprawdę drodzy. Myślisz, że powinienem schodzić do nich częściej, by otaczać ich opieką i obdarzać otuchą?”

Los, która z zachwytem wspominała tęcze, tworzone dziś wysoko na niebie, pokiwała z zadumą głową.

„Idź, jeśli sprawi ci to przyjemność, bracie”.

Nie przepadała za ludźmi, którzy wydawali jej się hałaśliwi i grubiańscy, ale cieszyło ją to, że brat miał się o kogo troszczyć. I, żeby ludzie lepiej sobie radzili w niebezpiecznym dla siebie świecie, oddała im jedną z sił natury, którą ci nazwali magią. Magia wszak pomagała w budowaniu, leczeniu i walce o przeżycie.

Rok płynął za rokiem. Los przeganiała susze i zarazy, broniła świata przed powodzią i burzami, dbała o to, by piękno zawsze dominowało nad tym, co mroczne i nieczyste. Dola zaś często schodził do ludzi i spędzał wśród nich długie tygodnie, troszcząc się o ich potrzeby, aż pewnego dnia ze śmiechem przekazał siostrze, że ci zaczęli go wyznawać.

„Wyobraź sobie, że budują mi świątynie i zbierają się w nich, by pod okiem kapłana oddawać mi cześć! – opowiadał. – Śpiewają pieśni, recytują modlitwy i budują mi posągi, choć nie mogą zdecydować, czy jestem mężczyzną, czy kobietą”.

Los również uznała, że to zabawne, i wspólnie się ubawili do łez.

Czas radości jednakże minął, bo świat bóstw i bogów przestonił złowrogi cień. Pojawiło się Złe, które pragnęło śmierci każdego, kto stał mu na drodze. Los i Dola, choć nie byli wojowniczymi bóstwami, musieli chwycić za broń i wydać walkę najeźdźcy. Ich boje ciągnęły się w nieskończoność i nieraz się zdarzało, że Los na swych plecach dźwigała ciężko rannego Dolę do ich sadyby. Bywało też, że Dola robił to samo dla siostry. Złe zaś nie dość, że nie słabło, to jeszcze wydawało się z dnia na dzień coraz silniejsze.

W końcu jednakże, po długich i krwawych bitwach, upokorzone Złe uciekło w mrok, a Los i Dola zrozumieli, że mają wreszcie chwilę wytchnienia. Dola bezzwłocznie zszedł więc do ludzi, by sprawdzić, czy nic im nie dolega, ale po powrocie wydawał się bardzo zmieniony. Długo nie chciał zdradzić siostrze, co takiego ujrzał na ziemi, a gdy ta wreszcie go uprosiła, wyznał:

„Ludzie chyba zabrnęli za daleko. Kapłani stworzyli mocną, silną religię i dyktują im, jak mają żyć. Wpływają też na swych rządzących, a ci postanowili zniszczyć jedyny dar, jaki od ciebie otrzymali”.

„Co takiego?” – przeraziła się Los.

„Postanowili wytępić magię – powiedział zrozpaczony Dola. – A w tym celu zabijają wszystkich, którzy nią władają”.

Los była wstrząśnięta wieściami podobnie jak Dola. Nie potrafiła zrozumieć, że ludzie, którzy zgromadzili się wokół Doli, nastawiali teraz na garstkę jej wybrańców – magów, guślarzy, upiorników, uzdrowicieli i likantropów, w tym chociażby wilkołaki. Usiedli więc we dwoje przy ogniu, wyłakali się i postanowili razem zejść na ziemię, by spróbować jakoś ów kryzys zażegnać. Byli już gotowi do drogi, gdy znów objawiło się Złe i oboje musieli odwrócić się od ludzi, by stoczyć z nim walkę.

I tak to już od tej pory wyglądało. Los i Dola, wysoko nad ludzkimi głowami, toczyli wojnę o przyszłość świata, a ludzie, którzy nie mieli o niej pojęcia, angażowali się we własne drobne wojny i wojenki. Bywało, że się jednoczyli, zwłaszcza gdy Złe oderwało się od Losu i Doli na tak długo, by pchnąć na ludzi kolejną inwazję, ale ci, gdy tylko osiągnęli zwycięstwo, na powrót zwracali się przeciwko sobie.

Dola jednakże nie porzucił nadziei, że kiedyś uda mu się zstąpić do ludzi i spróbować przemówić im do rozumu. Wreszcie, po szczególnie zaciekłym boju ze Złym, dopilnował, by strudzona Los ułożyła się do snu, a sam zszedł na ziemię. Pod postacią zwykłego człowieka ruszył ku najbliższemu miastu, by stanąć na jego rynku i wygłosić mowę do wszystkich, a zwłaszcza do kapłanów. Chciał ich nakłonić, by zrezygnowali z nienawiści i wrogości, by wyparli się niezgody i zaprzestali prześladowań, by wreszcie nauczyli się żyć ze sobą.

Ale nigdy do miasta nie dotarł. Jego trop pochwycili bowiem ci, których prześladowania ze strony kapłanów zmusiły do ukrywania

się po lesie. Drogę zastąpili mu ostatni guślarze, z gęstwiny leśnej wypadli czarodzieje, pogoniły za nimi wilkołaki i dzikołaki. Spadła na niego wielka magia, wspomóżona nienawiścią i rozpaczą, a Dola, przerażony do granic, rzucił się do panicznej ucieczki.

Z trudem umknął do swej niebiańskiej siedziby, a gdy ukazał się siostrze, ta od razu zrozumiała, co się stało.

„A więc świat ludzi nie jest już dla ciebie, bracie?” – spytała Los ze smutkiem.

„Nie wiem, jak będę umiał żyć bez ludzi, których tak ukochałem” – rzekł przez łzy Dola.

„Nie zasłużyłeś na takie traktowanie” – zgodziła się Los.

Długo myślała o tym, jak wynagrodzić bratu stratę, aż wreszcie wpadła na znakomity pomysł. Sama zeszła na ziemię, co nie zdarzało się jej wcześniej, i ruszyła do prostych ludzi. Wstydziła się pokazać im na oczy, a więc przywoływała wiatr, który przynosił jej szept, i w ten oto sposób przekazywała im, że podczas najdłuższej nocy na ziemię zstąpi Dola i że powinni się na tę chwilę dobrze przygotować. Powinni też mieć na podorędziu koszyczek, a w nim pięć ziarenek jarzębiny, zmarznietą hubę, czerwoną korę, skorupkę po jajku i odrobinę wyschniętego mięsa. Gdyby któryś z wybrańców Los nastawał na Dolę, wystarczyło bowiem cisnąć te pięć składników w ogień, by uwolnić czar, niweczający wszelką magię w okolicy.

Prości ludzie ze wsi tęsknili za Dolą i z ochotą zgodzili się na słowa Los. Odtąd rodziny zawsze już spotykały się w najdłuższą noc w roku i ucztowały razem w nadziei, że Dola im pobłogostawi, a nigdy też nie zapominały o przygotowaniu odpowiedniego koszyczka. Z upływem czasu zapomniano, rzecz jasna, o jego prawdziwym przeznaczeniu, bo kapłani skwapliwie stworzyli własne wytłumaczenie tego zwyczaju, a Doli wkrótce przestało cokolwiek zagrażać.

Ktoś mógłby rzec, że to sami wyznawcy Losu pokrzyżowali dobrą wolę Doli, ale czy ktoś może skrytykować prześladowanych od lat wyrzutków, że rzucili się na tego, którego uznali za wroga? Wina spoczywa wyłącznie na kapłanach Doli, którzy, odwróciwszy się od nauk swego boga, rozpętali

pełną nienawiści i nikomu niepotrzebną wojnę, mającą umocnić ich pozycję. My zaś możemy cieszyć się z tego, że miłość Doli i Losu

przetrwiała najtrudniejsze chwile i wypłynął z niej zwyczaj, który nas teraz połączył.

Gdy Żychłóń zakończył swą opowieść, przez długi czas panowała cisza, przerywana jedynie trzaskiem płomieni w kominku. Dzieci wpatrywały się w guślarza z szeroko otwartymi ustami, a reszta uśmiechała się lekko, kiwając do siebie głowami. Andrea marszczyła brwi, ale i jej zabrakło siły woli, by przerwać ciszę lub tym bardziej zaprzeczyć słowom Żychłonia. Jego bajka bowiem jawiła się nam wszystkim jako jedna z prastarych tajemnic, na których wspierał się nasz świat, zamaskowanych paplaniną kapłanów, ale tym groźniejszych i istotniejszych.

Wszyscy aż drgnęli, gdy Żychłóń nagle klasnął w dłonie.

– Jedzenie stygnie! – zawołał. – Niech wam Dola sprzyja i Los was prowadzi!

– Jedzmy! – zawtórowałem niemrawo, co, jak sądziłem, należało do obowiązków gospodarza, ale nie trzeba było, bo podniosły nastrój nagle prysł i wszyscy, łącznie z dziećmi, wśród śmiechów i żartów rzucili się na jedzenie.

Był to najlepszy Dzień Zstąpienia Doli, jaki pamiętam. Potraw było mniej niż zwykle, bo na przygotowanie wszystkich, które przewidywała tradycja, zwyczajnie zabrakło czasu, ale nikomu to specjalnie nie przeszkadzało. Zajadaliśmy bigos, przegryzając go świeżym chlebem i zapijając piwem lub grzanym winem, a potem wgryźliśmy się w cynamonowe ciasto. Andrea zaintonowała jakąś religijną pieśń, co podjęli wszyscy, łącznie z Żychłoniem, ale ledwie dobiegła końca, inicjatywę przejął Gramm, który głos miał kiepski, ale za to donośny, a do tego dysponował obszernym wachlarzem tematów. Chwilę później, gdy wynieśliśmy na górę pochrapujące ze zmęczenia dzieciaki, a po nich Zwierzaka, którego zmógł pierwszy kubek wina, prym przejęły pieśni skupiające się na perypetiach damsko-męskich, w miarę upływu czasu coraz to bardziej pieprzne.

Sara, która nie szczydziła głosu, rumieniła się wprost przecudnie, a jej oczy błyszczały jak iskierki. Co chwila podrywała się i biegła do dzieci, które przebudziły się na moment i zsunęły łóżka, by wtulić się

w chrapiącego głośno Zwierzaka, i wracała z coraz to szerszym uśmiechem. Gdy w pierwszym dzbanie wina pojawiło się dno, skinąłem na Gramma i udaliśmy się na górę zamiast niej, by zabrać Zwierzaka, wybudzić go, dać mu fujarkę i kazać grać. Goblin zareagował na propozycję z entuzjazmem, a gdy rozległy się pierwsze takty, rozochocona Andrea jęła namawiać czerwonego jak burak Urgo do płaśów. Rycerza z opresji wywabił Żychłoń, który zatańcował z moją teściową z takim wigorem, że ja z Sarą ledwie zdołaliśmy za nimi nadążyć.

A z tego, co się działo dalej, nie pamiętam dużo. O, pamiętam, że Eliah kilkakrotnie próbował nas opuścić, ale co rusz zawracał, aż w końcu zaśpiewał tak, że impreza na moment wyhamowała, a potem długo nie mogła ruszyć. Pamiętam, że Urgo złożył jakieś solenne rycerskie przyrzeczenie, klęcząc na środku izby, ale nikt go nie usłyszał, a on sam go nie zapamiętał. Pamiętam, że Gramm próbował nas wszystkich nauczyć krasnoludzkiego tańca, co skończyło się chóralnymi śmiechami, a Żychłoń urządził pokaz odgłosów wydawanych przez dzikie zwierzęta, przez co do rana wokół Gryfa kręciło się kilka skonfundowanych łosi. Pamiętam, że z oddali dobiegało rozczarowane wycie wilków, a Paproch odszczeniwał się im zajadle.

Pamiętam też, że gdy klapnąłem, zmęczony tańcem i śmiechem, Andrea nachyliła się nade mną, nałożyła mi bigosu i naleła piwa. Nic takiego nigdy wcześniej się nie wydarzyło i zrozumiałem, że choć od jutra znów będzie na mnie narzekać i wyzywać mnie od pijaków, będzie to czynić z mniejszym przekonaniem.

Trudno o lepszy dowód, że Dola w istocie tej nocy do nas zawitała. A dzieciaki? Przespały całutką noc.

Koszyczek dla Doli

Copyright © by Marcin Mortka 2022

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2022

Redakcja – Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta – Kornelia Dąbrowska, Paulina Stoparek, Anna Strożek

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Ilustracja na okładce – Piotr Sokołowski

Mapy – Piotr Sokołowski

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2022

ISBN mobi: 9788382109054

ISBN epub: 9788382109061



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka, Julia Siuda

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Piotr Jankowski, Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Kuzko, Małgorzata Pokrywka

Finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

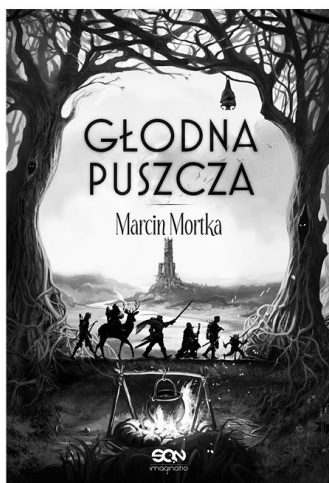
Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziak

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

POZNAJ WCZEŚNIEJSZE LOSY BOHATERÓW



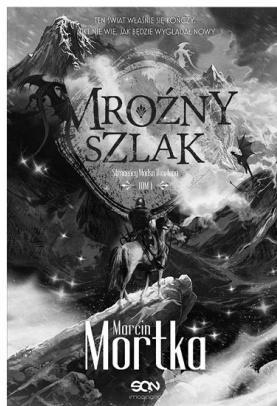
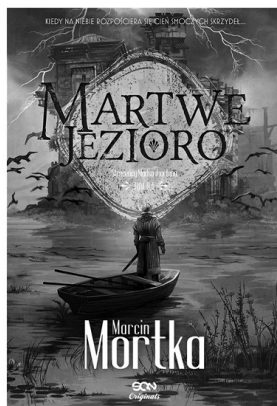
Szukaj w dobrych księgarniach

SCN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

**PIĘCIORO PODRÓŻNIKÓW, CZTERY TAJEMNICZE CELE,
JEDNA BARDZO NIEBEZPIECZNA WYPRAWA**



**KLASYCZNA FANTASYKA W STYLU UWIELBIANYM
PRZEZ TYSIĄCĘ CZYTELNIKÓW!**

Szukaj w dobrych księgarniach

SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl**

CZY Z ROLANDEM COŚ MOŻE SIĘ NIE UDAĆ?

Był czas, gdy deliriańscy demoniczni książęta zapragnęli zawładnąć morzami i zbudowali w tym celu siedem wspaniałych liniowców. Wiele lat później, w wyniku zadziwiającego splotu okoliczności, pirat Roland zwany Wywijasem został kapitanem jednego z nich. Jak otworzyć drzwi na pokłady działowe? Co robi w szafie rycerz w pełnej zbroi? Co oznaczają tajemnicze magiczne symbole na każdym kroku i czemu galion wyje i rzeźi? Żegluga na Błędnym rycerzu będzie nie lada wyzwaniem. Ale co tam...



PRZYGOTOWAĆ SIĘ DO ABORDAŻU!

Szukaj w dobrych księgarniach

SCN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wcan.pl

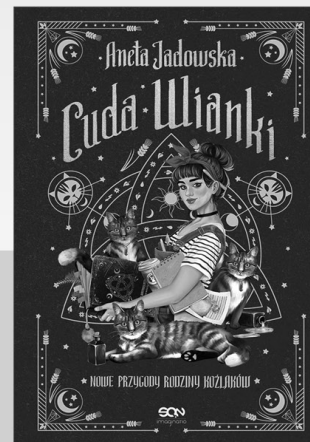
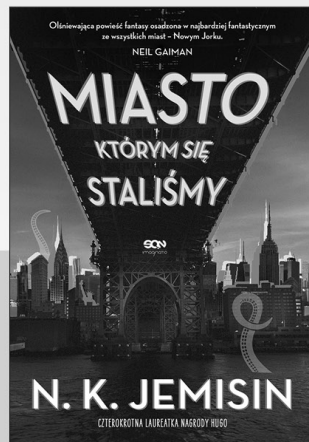
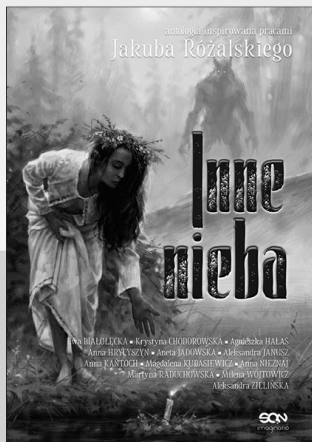
www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.

Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

sqnSTORE.PL lab**o**tiga.pl